SOBOTA

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 132 11 LISTOPADA 1978 R CENA 1,50 ZŁ

Sobiesław Zasada opowiada o Rajdzie Południowoamerykańskim

PRĄD I MUSTANGI

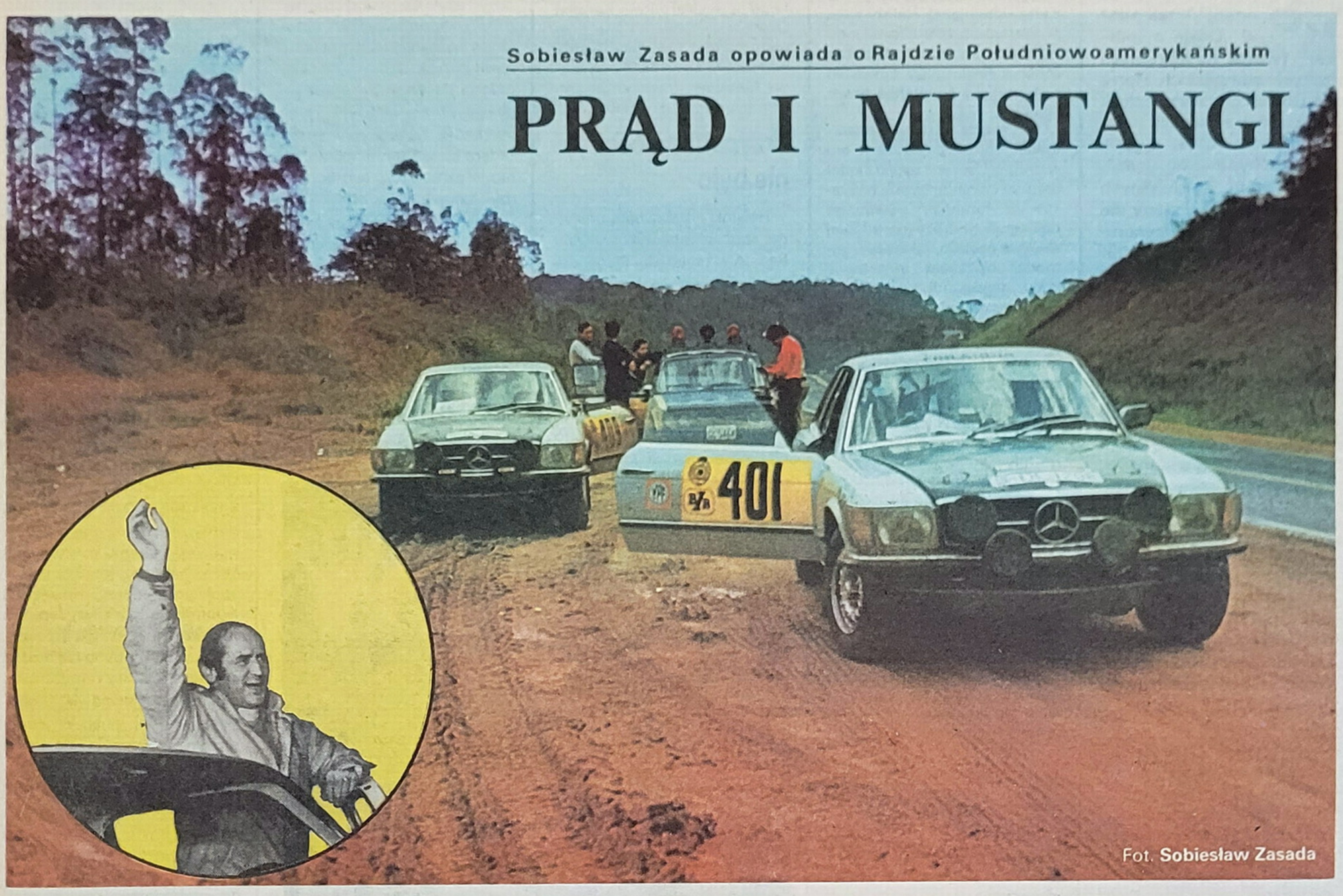

Fot. Sobiesław Zasada

Kiedyś, gdy obserwowałem Rajd Monte Carlo, Sobiesław Zasada zaproponował mi wspólną przejażdżkę małym Fiatem 126p po alpejskich drogach. Tam poznałem jego kunszt prowadzenia samochodu, bezbłędną sztukę pokonywania zakrętów i doskonałą fotograficzną pamięć drogi, którą jechał wprawdzie, ale kilka lat wcześniej. Pamiętał każdy zakręt, skrzyżowanie, rozjazd, a przecież były to drogi bliźniaczo do siebie podobne.

Kilka miesięcy temu pan Sobiesław opowiadał o swoim Safari. Jechał wtedy samochodem słabszym od ostatniego, przyzwyczajał się, „wjeżdżał", mówiąc językiem rajdowców, w nową maszynę. Zajął tam szóste miejsce, najlepsze spośród wszystkich maszyn wystawionych przez Mercedesa. Sprawdził się i został zaproszony do udziału w barwach tej świetnej firmy, produkującej samochody z trójramienną gwiazdą, do startu w rajdzie na trasie 30 tysięcy kilometrów.

C.D. NA STR. 3

AZYMUT WĘGIEL

Azymut-Węgiel już po raz piąty

UWAGA SZCZEPY HARCERSKIE!
UWAGA SAMORZĄDY SZKOLNE!

- jeśli chcecie dowiedzieć się, jak pracują ludzie odważni
- jeśli chcecie poznać, jak wydobywa się czarne złoto
- jeśli interesuje Was, jak zdobyć atrakcyjny zawód
- jeśli macie ochotę wykonać ciekawe zadania
- jeśli chcecie zdobyć cenne nagrody za 100 000 zł

weźcie udział w V Ogólnopolskim Konkursie Azymut-Węgiel organizowanym przez naszą redakcję i Ministerstwo Górnictwa przy współudziale ZW ZSMP i KCh ZHP w Katowicach.

Już za tydzień, 18 listopada, znajdziecie w „Świecie Młodych" bliższe szczegóły konkursu Azymut-Węgiel.

Nie traćcie ani chwili, i już dziś zainteresujcie tym konkursem radę szczepu lub samorząd szkolny.

ZNALEŹLI SKARB

MŁAWA (HSI). Ostatnio Muzeum w Mławie wzbogaciło się o cenne eksponaty – monety krzyżackie. Jest to zasługa nauczyciela historii ze Zbiorczej Szkoły Gminnej w Szydłowie, Krzysztofa Łebkowskiego, i rolnika ze wsi Gednia, Romana Posiadłowskiego. Tuż po wakacjach harcerze z szydłowskiej szkoły przynieśli trzy jednakowe monety. Trafiły one do rąk historyka. Jak się później okazało, znalazł je pan Posiadłowski w swoim obejściu podczas kopania dołu. Monet było ponad sto – wszystkie krzyżackie. Znalazcy przekazali skarb w ręce pracowników muzeum. Za swą postawę otrzymali nagrody pieniężne od Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Słowa uznania należą się również harcerzom, którzy przyczynili się do znalezienia skarbu. **(aug)**

KREMLOWSKI MIECZ

MOSKWA (PAP). Podczas wykopaliskowych prac prowadzonych na moskiewskim Kremlu odnaleziono pochodzący z XII wieku miecz, na którym jest wyryty łaciński napis. Dotychczas za najstarszy zabytek na tym terenie uważano hełm Jarosława, syna Aleksandra Newskiego, pochodzący z XIII wieku. **(ag)**

Piastowskim szlakiem

POZNAŃ (HSI). Pierwszy Maraton Rajdowy „Szlakiem Piastowskim" jest już za nami. Wzięli w nim udział uczniowie z całego województwa poznańskiego. Mimo jesiennej pogody, deszczu, na szlakach spotkali się turyści w wieku od 8 do 18 lat. Trasy wytyczone zostały na długości od 5 km do 14 km. Wszystkie trakty wiodły z okolic Poznania do Szkoły Podstawowej nr 13, gdzie organizatorzy przygotowali dla uczestników bigos i gorące kiełbaski. Na szlaku uczestnicy brali udział w różnych zawodach, grach i konkursach. Rajd zakończył się w Młodzieżowym Domu Kultury „Harcówka" na Cytadeli. Wszyscy uczestnicy otrzymali od organizatorów pamiątkowy znaczek; pierwszy z serii ośmiu, bo zgodnie z regulaminem Maratonu Rajdowego uczniowie wędrować będą „Szlakiem Piastowskim" przez całą zimę, do wiosny. **(ach)**

NAJSTARSZY PTAK ŚWIATA

MOSKWA (PAP). Radziecka ekspedycja paleontologiczna znalazła w zachodniej Mongolii dobrze zachowany szkielet i odciski piór ptaka, pochodzącego przypuszczalnie sprzed około 100–200 mln lat. Jest to jedno z najbardziej sensacyjnych odkryć paleontologicznych ostatnich czasów. Znaleziony w Mongolii ptak jest dobrze zachowany, gdyż ów „praptak" przed milionami lat utonął w błocie, które z czasem przekształciło się w skałę. **(kż)**

SPOTKANIE Z POEZJĄ

LUBLIN (HSI). W V Liceum Ogólnokształcącym im. Marii Curie-Skłodowskiej odbył się wieczór poezji Kamila Krzysztofa Baczyńskiego. Organizowany przez grupę „Błękitni" z klas II b i IV c pod kierunkiem prof. Anny Szymaniak program zapoznał z twórczością tego poety. Spotkania z poezją odbywają się w ramach czwartków poetyckich, które organizowane są raz w miesiącu. Wieczór z poezją Baczyńskiego był debiutem artystycznym w tym roku. Wśród wielu pięknie recytowanych wierszy znalazły się m.in. „Pokolenie", „Z lasu" oraz wiele innych. Wspaniały nastrój tworzyła ciekawie przygotowana scenografia z pięknym podkładem muzycznym do wierszy. **(d)**

Fot. Jerzy Dzikowski

Przedstawiamy jubilata

Przezorny zawsze ubezpieczony

PZU

175 lat temu powołano do życia pierwszą na ziemiach polskich instytucję ubezpieczeń. W 1803 roku, na mocy dekretu królewskiego powstało Towarzystwo Ogniowe dla Miast, a w rok później również Towarzystwo Ogniowe Wiejskie. W wyniku działań wojennych kampanii napoleońskiej, towarzystwa te uległy jednak likwidacji. Ale wkrótce na ich miejsce powstało Towarzystwo Ogniowe, które prowadziło swoją działalność do 1816 roku. W następnych latach rozwój ubezpieczeń toczył się różnymi drogami. Dopiero w okresie międzywojennym dochodzi do powstania jednolitej instytucji – Państwowego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych.

Okres wojny i okupacji to lata aktywnej działalności PZUW. Niesie on pomoc rodzinom, których członkowie zostali zamordowani lub wywiezieni oraz organizuje pomoc gospodarstwom zniszczonym w wyniku represji okupanta. Większość pracowników ubezpieczeniowych działa również w podziemnych organizacjach politycznych i tworzonych przez PZUW jednostkach Ochotniczych Straży Pożarnych, prowadząc szkolenie wojskowe ich członków. Z legitymacji tej instytucji korzystało wiele osób ukrywających się przed represjami władz okupacyjnych.

Wyzwolenie kraju i powstanie władzy ludowej stworzyło nowe warunki do działalności PZUW. W wyniku dekretów wydanych w 1947 roku, następuje szybki rozwój ubezpieczeń. Ukoronowaniem tego było wydanie 28 marca 1952 roku Ustawy przekształcającej PZUW w Państwowy Zakład Ubezpieczeń.

PZU działa na terenie całego kraju i zajmuje się wypłacaniem odszkodowań jednostek gospodarki uspołecznionej i ludności. Poza obowiązkowymi ubezpieczeniami ludności PZU oferuje ponad 70 rodzajów ubezpieczeń dobrowolnych. Oprócz ubezpieczeń PZU prowadzi szeroką działalność zapobiegawczą w wielu dziedzinach życia gospodarczego i społecznego. Ze środków tej instytucji finansowane są m. in. takie zadania: organizacja badań psychofizjologicznych kierowców, badania diagnostyczne pojazdów, wyposażenie ośrodków rehabilitacyjnych, pomoc przy budowie ośrodków zdrowia na wsi, opieka nad dziećmi, pomoc przy likwidacji niebezpiecznych odcinków dróg lokalnych i wiele innych.

Szczególnie wysoko cenić należy troskę PZU o zdrowie i prawidłowy rozwój fizyczny najmłodszych obywateli naszego kraju. Wyraża się to również we wspieraniu społecznych akcji naszej gazety, jak Zawody Olimpijskich Talentów i Rajd Rowerowy „Szlakami przygód i bezpiecznych dróg".

W roku jubileuszu życzymy PZU setek tysięcy nowych przezornych – posiadaczy polis ubezpieczeniowych. (rat)

Od Helsinek do Moskwy

SENSACJA STAŁA SIĘ CODZIENNOŚCIĄ

„Sport! To przecież pokój" – tak pisał w „Odzie o sporcie" twórca nowożytnych igrzysk olimpijskich Pierre de Coubertin. Wskrzesiciel helleńskich tradycji ani przez moment nie myślał, że może być inaczej. Sądził, że wzorem starożytnych czasów igrzyska staną się oazą spokoju i międzynarodowej zgody. Marzenia Coubertina nie spełniły się, pierwsza i druga wojna światowa brutalnie przerwały olimpijski ruch. Olimpijską ciszę zniweczyły także strzały terrorystów podczas igrzysk w Monachium. Coubertin sądził również, że sport raz na zawsze usunie w cień wszelkie uprzedzenia natury rasowej. Bywało różnie... Długie lata dyskryminacji Indian i Murzynów stanowią jedną z najciemniejszych plam olimpizmu. Niemniej smutną sprawą była ponad trzydziestoletnia separacja zawodników Kraju Rad. W igrzyskach wystartowali dopiero w 1952 roku.

Sportowa Cuszima

Konstytucyjny kongres olimpijski, który pod przewodnictwem barona Coubertina obradował w Sorbonie (czerwiec 1894 rok) zgromadził przedstawicieli trzynastu krajów. W ich gronie nie zabrakło także delegata carskiej Rosji. Kongres powziął uchwałę o wskrzeszeniu igrzysk i postanowił, że pierwsze odbędą się w 1896 roku w Atenach. Jednocześnie nie zapomniano o powołaniu pierwszego Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. W jego składzie znalazł się przedstawiciel Rosji – generał Butkowski. Wybór ten nie świadczy bynajmniej o sportowej potędze rządzonego przez cara Mikołaja II Aleksandrowicza państwa. Działające, głównie w Moskwie, Kijowie, Petersburgu (obecnie Leningrad) kluby zrzeszały zaledwie 50 tysięcy osób, i to wywodzących się wyłącznie z klasy panującej. Należy więc przypuszczać, że Butkowskiego wpisano na listę działaczy MKOl z racji... jego powiązań z europejską śmietanką towarzyską.

Sportowcy Rosji nie wystartowali ani w pierwszych ani w drugich, ani w trzecich z kolei rozgrywanych igrzyskach. Brakowało funduszy nawet na opłacenie podróży narodowej ekipy, a poziom, jaki reprezentowali ówcześni mistrzowie kraju, daleko odbiegał od poziomu czołówki europejskiej i amerykańskiej. Debiut przypadł dopiero w 1908 roku (Londyn). Pięcioosobową ekipę wyekspediowano dzięki ... składkom społecznym. Złoty medal, który wywalczył łyżwiarz Nikołaj Panin Kołomienkin (w programie ówczesnych igrzysk letnich, obok typowych dla sezonu konkurencji, rozgrywano również łyżwiarstwo figurowe; I igrzyska zimowe odbyły się w roku 1924) narobił w carskich apartamentach tyle szumu, że w cztery lata później wysłano do Szewcji drużynę liczącą aż 178 zawodników. Ale ich występy na olimpijskich obiektach Sztokholmu prasa nazwała sportową Cuszimą. Nikt nie zdobył cennego trofeum, a odległa XV lokata w klasyfikacji generalnej dawała się porównać tylko do klęski pod Cuszimą, jakiej doznały morskie siły Rosji w wojnie z Japonią w latach 1904–1905.

Znamienne decyzje

Bojkot stosowany przez kraje kapitalistyczne wobec młodego radzieckiego państwa nie ominął także jego sportu. Zawodników ZSRR nie dopuszczono nie tylko do udziału w igrzyskach olimpijskich, ale również nie zaproszono na inne mniejszej i większej rangi międzynarodowe imprezy. Pomimo licznych protestów ze strony radzieckiego społeczeństwa we władzach MKOl aż do 1933 roku znajdował się rosyjski arystokrata – emigrant, książę Urusow. On to właśnie, co dziś wydaje się wprost niewiarygodne, uważany był za pełnoprawnego przedstawiciela nie istniejącej przecież od lat Rosji.

Finał II wojny światowej, systematycznie wzrastający na międzynarodowej arenie autorytet ZSRR zmusiły kierownictwo MKOl do zrewidowania swoich poglądów. Szefowie olimpizmu doszli w końcu do rozsądnego wniosku, że trudno będzie przeprowadzać igrzyska bez udziału sportowców radzieckich. W maju 1951 roku, na kongresie w Wiedniu, Międzynarodowy Komitet Olimpijski uznaje i przyjmuje do własnego grona Narodowy Komitet Olimpijski ZSRR. 23 lata później, również w stolicy Austrii, podczas 75 sesji MKOl przyznano Moskwie prawo organizowania igrzysk roku 1980.

Przypadkowości nie było

Helsinki – 1952. Inauguracyjny start olimpijczyków Kraju Rad. Ale zanim do niego doszło, daje się zaobserwować pierwszy nietakt wobec reprezentantów obozu socjalistycznego. Zakwaterowano ich w oddzielnej wiosce olimpijskiej. Nie brakowało im właściwie niczego, jednak stworzono nikomu niepotrzebne getto i sztuczny podział przybyłych do Helsinek sportowców. Wielu dziennikarzy zachodnich, co jeszcze pogorszyło istniejącą sytuację, przyjechało do stolicy Finlandii w charakterze poszukiwaczy sensacji politycznych. Starali się oni znaleźć przede wszystkim ujemne cechy w zachowaniu się zawodników radzieckich...

Stało się to, czego nie przewidział nikt. W nieoficjalnej, ale od lat prowadzonej punktacji medalowej reprezentacją ZSRR uzyskała identyczny rezultat co sportowcy USA, uczestnicy wszystkich dotychczasowych igrzysk. Sensacyjne osiągnięcie debiutantów prasa kapitalistyczna określiła jako przypadek. Kolejne wydarzenia zadały kłam i temu stwierdzeniu. W okresie czterech lat, między olimpiadą w Helsinkach i Melbourne, zawodnicy Kraju Rad z powodzeniem włączyli się do międzynarodowej rywalizacji, detronizując wielu dotychczasowych mistrzów Europy i świata. Nic więc dziwnego, że przed rozpoczęciem igrzysk w Australii liczono się już z możliwością porażki ekipy Stanów Zjednoczonych. Tak też się stało. Sportowcy ZSRR zdobyli 622,5 pkt., USA 497,5.

Radziecka gimnastyczka Nelli Kim wywalczyła podczas niedawno rozgrywanych w Strasburgu (Francja) mistrzostw świata srebrny medal. Złoty zdobyła jej moskiewska koleżanka, Elena Muchina. Trzecie miejsce także przypadło zawodniczce ZSRR – Natalii Szaposznikowej

Kolejne olimpiady to kolejne zwycięstwa naszych wschodnich sąsiadów. W Montrealu wywalczyli oni aż 788,5 pkt. Na 25 rozgrywanych tam dyscyplin reprezentanci radzieccy triumfowali w ośmiu, w siedmiu zajęli drugie lokaty, w czterech uplasowali się na trzecich. Jeszcze bardziej wymowny jest fakt, że spośród 430 zawodników ZSRR, którzy wystąpili na igrzyskach Montreal'76 aż 259 stanęło na podium.

Skoro jesteśmy przy liczbach, warto jeszcze porównać dorobek medalowy dwóch sportowych potęg lat olimpijskich 1952–1976. ZSRR – 683 medale: 258 złotych, 221 srebrnych, 204 brązowe. USA – 605 medali: 254 złote, 185 srebrnych, 167 brązowych. Jeżeli zbilansowalibyśmy również igrzyska zimowe, przewaga sportowców radzieckich zwiększyłaby się znacznie.

Pomyłki czy celowość?

Na łamach prasy sportowej państw zachodnich, na afiszach reklamujących występy zawodników ZSRR, często można spotkać określenie „rosyjski" zamiast „radziecki". Śmiesznie brzmi tego typu zwrot dotyczący np. radzieckich zapaśników, w szeregach których trudno dostrzec przedstawicieli Federacji Rosyjskiej, a dominują sportowcy republik Kaukazu Północnego i Zakaukazia. W ten sposób nie można nazywać również reprezentacji piłkarskiej, hokejowej, kolarskiej i każdej innej. W jednej drużynie występują i Rosjanin, i Gruzin, i Uzbek, i Ukrainiec... Określenie „rosyjski" jest więc nie tylko pojęciem zawężonym ale i mylnym. Nie można go używać nawet wtedy, gdy w zespole reprezentacyjnym naszego wschodniego sąsiada znajdują się zawodnicy Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Poza granicami swojego państwa bronią barw wszystkich radzieckich republik, a więc całego Kraju Rad. O tym wie się na Zachodzie doskonale. Tylko dlaczego używa się takiej a nie innej terminologii? Czyżby w dalszym ciągu nawiązywano do nazwy państwa sprzed 1917 roku? Nie trzeba chyba mówić, że jest to sprzeczne z programem MKOl...

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI

Fot. **archiwum**

Przepis na topienie Kazia

Należę do starszaków – prawdę powiedziawszy mam ponad osiemnaście lat. Teoretycznie mogę więc chodzić na wszystkie filmy wyświetlane w naszych kinach. W praktyce różnie to bywa: gdy tylko zapomnę dowodu osobistego bileterzy radzą mi, abym wrócił do odrabiania lekcji. Mam o to do nich żal. Pewnego dnia poproszono mnie o opuszczenie przejścia zaraz potem, jak przekroczył je mój były uczeń, całkowicie – rzekłbym – nieletni. Gdy w dwa dni później ten sam film obejrzałem w innym kinie, pomyślałem: nieprzystępny bileter miał rację! Chciał ci zaoszczędzić przykrości, a ty, stary ośle, nie posłuchałeś... Masz więc za swoje...

Film bowiem był absolutnie do bani. Jedynie uprzejmość wobec cudzoziemskiego reżysera wstrzymuje mnie od podania tytułu „sensacyjnego", jak zapowiadano, spektaklu. Sensacyjna była jedynie cena biletu oraz liczba czternastolatków na sali. Tak czy siak nudziliśmy się wspólnie.

Pytanie: dlaczego młodzi ludzie (celowo nie nazywam ich „niepełnoletnimi", bo brzmi to jak „niepełnowartościowi") tak chętnie wybierają się na filmy od lat osiemnastu? Znalazłem jedną tylko przekonywającą mnie odpowiedź: ze względów historycznych.

Otóż historia wyznaczania barier wiekowych w kinach polskich jest i była dość skomplikowana. Dziesięć lat temu mając lat dwanaście można było obejrzeć takie mordobicie, jakie dzisiaj warte jest osiemnastu wiosen. Za to posiadacze dowodów osobistych mieli prawo popatrzeć na bajkowe historie, okraszone jednym, dwoma „mómentami". Pełno ich dzisiaj w każdym filmie telewizyjnym, w niedziele już od południa, w inne dni po dzienniku. W ludzkiej pamięci pozostał jednak dawny schemat, ten sprzed lat wielu. Jeżeli już coś oglądać to po całości, od osiemnastki... I nieszczęsny uczeń pierwszej licealnej, poinformowany szeptem przez starszego kolegę o zasadzie, drżąc z emocji mknie jak strzała do kasy. Buli spore pieniądze, po czym patrzy: jednego pana rozjechał samochód, drugi nalał do wanny za dużo wody nie umiejąc pływać. Resztę czasu gadano o czymś bliżej nieokreślonym. Wizja tonącego Kazia kosztuje nie mniej jak dwadzieścia złotych.

Tak więc oprócz straty czasu i kilku jeszcze rzeczy, do określenia w innym miejscu – problemu by nie było, gdyby nie pewien drobny fakt. Pojawiło się w ostatnim czasie parę filmów trudnych, o szczególnym charakterze. Filmy te zdecydowano się wprowadzić do kin premierowych. Najbardziej znanych, najczęściej odwiedzanych... Bariera wieku dojrzałego przyciągnęła rzecz jasna widzów znacznie młodszych. Bileterzy wpuścili wszystkich. I niestety, tym razem owym młodszym wyrządzili krzywdę. Dowodzą tego komentarze wypowiadane przez nastolatków po wyjściu na ulicę. Zawsze lubiłem czarny humor. Tym razem zmieniłem zdanie.

Treścią jednego z filmów jest zjawisko odradzania się faszyzmu we Włoszech. Problem sam w sobie godny poważnego potraktowania tak przez reżysera, jak i przez widzów. Niestety, reżyserowi nie udało się. Utkał swoje „dzieło" ze scen tak brutalnych, a jednocześnie schematycznych i głupich, jakich trudno by szukać gdzie indziej. Wytrawni kinomani twierdzą, że film stał się przez to bezsensowny i nie do oglądania. Mniej doświadczeni, czyli po prostu młodsi, odczytują jego przesłanie... do góry nogami. Sceny tragiczne budzą salwy śmiechu. Ironia przechodzi bez echa. A wnioski wyciągnięte przez moich sąsiadów jeżą włos na głowie. Kilkunastoletnich dżentelmenów zafascynowała bowiem idea stworzenia bandy wzorowanej na faszystowskiej bojówce, przedstawionej w rzeczonym obrazie. Gdybyśmy tak skrzyknęli się z dwoma jeszcze podwórkami i wzięli resztę towarzystwa za mordę...

Komu więc służą podobne filmy? Albo inaczej: kto odpowiada za sprowadzanie i rozpowszechnianie podobnych chał? Od dłuższego już czasu podejrzewam – nie ja jeden zresztą – że wyczucie gustu i zdolność spełniania wymogów filmowego rynku członków komisji zakupów przedstawiają wiele do życzenia. Narzucanie tysiącom widzów własnego zdania może być miłe – gdybyż to jednak było rozsądne zdanie...

A co na to dyrekcje kin, bileterzy? Czy przypadkiem nie będziecie państwo wracali do domów podwórkami opanowanymi przez „kinomanów"?

MAREK ZARĘBSKI

Sobiesław Zasada opowiada o Rajdzie Południowoamerykańskim

PRĄD I MUSTANGI

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

„Z Buenos Aires startowaliśmy w warunkach, które kiedyś, przed laty, towarzyszyły mojemu startowi z Warszawy do Monte Carlo. Wtedy, w środku styczniowej nocy, oczekiwały nas tłumy ludzi. Jechaliśmy wolniutko w szpalerze mieszkańców Warszawy i każdy chciał nas pożegnać. Na dachu samochodu pozostały po tym pożegnaniu ślady rąk, które klepały w dach. W stolicy Argentyny taki szpaler miał osiemnaście kilometrów. Trzeba było wolniutko jechać, naciskając jednocześnie sygnał. Każde zatrzymanie było ryzykowne, z ruszeniem pewnie mielibyśmy kłopoty.

W tym rajdzie były dwie poważne przygody i obie zakończyły się właściwie niefortunnie, chociaż nie przeszkodziły nam w zajęciu drugiego miejsca na mecie.

Nie będę się rozwodził o przygodzie w piasku, bo jest ona właściwie bez znaczenia. Zakopaliśmy się w głębokim piachu, ale doświadczenia pustynne pomogły. Podłożyliśmy metalową drabinkę pod koła i wyjechaliśmy. W innym miejscu długa lina zaczepiona do ciężarówki pomogła wywlec ciężkie półtoratonowe auto z pułapki, w której podłoga samochodu oparła się o piach, a koła bezradnie obracały się w głębokiej koleinie tworząc coraz głębszy dół.

Jak już kilka razy mówiłem przy różnych okazjach, jechaliśmy przez dziesięć krajów kontynentu południowoamerykańskiego przez słynną krainę stepową pampę, Andy i dżunglę. W tej dżungli spotkała nas pierwsza przykra przygoda. Była noc i wąska szutrowa droga wśród dziewiczych lasów sprawiała niezwykłe wrażenie. Nie należę do ludzi strachliwych, ale powiem otwarcie – nie chciałbym wyjść z samochodu. Nie miałem pojęcia, co czai się za snopem światła jodowych reflektorów; dochodził nas tylko drażniący, mocny, aromatyczny zapach. Gnaliśmy więc przed siebie i wskazówka szybkościomierza dochodziła do 170 kilometrów na godzinę, gdy z jakiejś drożyny, niewidocznej dla nas przy tej szybkości, wypadły na drogę trzy konie. Były to dzikie zwierzęta z długimi grzywami i ogonami, doskonale widoczne, o niejednolitej maści, które galopowały przed samochodem ile sił w nogach, niestety, całą jej szerokością. Błyskawicznie dokonałem oceny sytuacji. Z jednej strony grube drzewa, z drugiej dość głęboki rów. O hamowaniu nie było mowy. Zbliżyłem się do zwierząt i wcisnąłem się w lukę pomiędzy nimi. Dwa konie miałem za sobą. Ten trzeci jednak w momencie gdy go wyprzedzałem obejrzał się i skręcił prosto pod samochód. Siadł zadem na masce, a pęd maszyny przerzucił go przez dach. Bardzo nam było przykro. Biedne zwierzę. W dżunglę wdarła się niszcząca cywilizacja i my byliśmy jej wysłannikami. Z tego zdarzenia pozostała nam pęknięta szyba i ślady na karoserii. Było to w Brazylii.

Drugie zdarzenie miało miejsce w Peru. Jechaliśmy już chyba dwudziesty dzień i do mety pozostało nam niewiele ponad 6 tysięcy kilometrów. Kilkaset kilometrów wcześniej podróżowaliśmy bezdrożami, po wertepach, drogach, które nazywamy potocznie „pralką" lub „tarką" i samochód był poważnie sfatygowany. Zanim jednak opowiem co się zdarzyło, trzeba wyjaśnić, że po raz pierwszy w życiu startowałem samochodem z automatyczną skrzynią biegów. To znaczy, że w naszym samochodzie nie było pedału sprzęgła, bo teoretycznie nie powinno się zmieniać biegów. Praktycznie to krótki lewar, taki niklowany pręt z poprzeczną rączką, ustawiany w czterech pozycjach w zależności od charakteru drogi i tempa jazdy, był nader często w robocie. Do jazdy po mieście starczyłaby zapewne jedna pozycja, ale do naszej podróży, gdy sytuacja zmieniała się co parę kilometrów, należało operować tym lewarkiem co kilka minut.

A więc dojechaliśmy do małego miasteczka i w naszym informatorze rajdowym, wyczytaliśmy, że jest niedaleko za miastem stacja benzynowa, gdzie nabierzemy paliwa, Mercedesa trzeba było karmić benzyną co 300 kilometrów, bo chociaż zbiornik miał 120 litrów pojemności, wóz palił 40 litrów na sto kilometrów, czyli czterokrotnie więcej od normalnego samochodu eksploatowanego w szosowych czy nawet miejskich warunkach.

Stanęliśmy przy pompie i w czasie gdy pienista struga leciała do zbiornika, prostowaliśmy nogi. Jeszcze tylko umyć szybę i odjazd. Przekręciłem klucz w stacyjce i nic. Nie usłyszałem znajomego cykania elektrycznej pompy benzynowej, nie zaświeciły lampki kontrolne zegarów, samochód wydawał się martwy. Przekręciłem jeszcze raz – głucha cisza. Rzuciliśmy się do silnika. Gdzie jest zwarcie, ani źdźbła prądu?! Zaciski akumulatora, kabel wiodący do stacyjki, wszystko wydawało się w porządku. Nadjechał nasz konkurent, a zarazem kolega z zespołu, Anglik Fowkes. Umocowaliśmy linę i postanowiliśmy uruchomić silnik na holu. Niestety, przekładnia automatyczna w tym przypadku jest dla kierowcy utrapieniem. Mercedes bronił się przed dalszą jazdą, silnik nie pracował. Schwyciłem z bagażnika kłębek miękkiego, miedzianego drutu, zwarłem zaciski akumulatora. A więc tu był winowajca. Nawet iskierki nie dał. Przyjechał zaalarmowany samochód serwisowy. Zamieniliśmy się akumulatorami. Spojrzałem na zegarek i zmartwiałem – 48 minut trwały te gorączkowe poszukiwania miejsca, kędy uciekł prąd. Już później, w drodze, w pościgu za rywalami zastanawiałem się nad przyczyną klęski. W baterii musiały pourywać się ciężkie, ołowiane płyty; nie wytrzymały nierówności i wertepów. Gdy rozrusznik zażądał prądu, akumulator odmówił zupełnie. Szkoda. Mieliśmy duże szanse na pierwsze miejsce, jechało nam się świetnie, pomagali nam ludzie – Polacy mieszkający w Argentynie; wiedzieliśmy jak im zależy, żeby kierowca polski ponownie wygrał wielką imprezę, tak jak kiedyś przed dziesięciu laty w „Grand Premio Argentyna".

Sobiesław Zasada, bo to właśnie on był tym zwycięzcą, startował na samochodzie marki Porsche w wielkim wyścigu i pokonał wszystkich kierowców. Za ten wyczyn otrzymał Puchar Ministra Spraw Zagranicznych wręczany tym sportowcom, którzy najbardziej przyczynili się do rozsławienia imienia naszego kraju w świecie.

Spisał **PIOTR CHMURA**
Fot. **Sobiesław Zasada**

„Kopernik" z Grzegorzówki

Niemal każdego dnia i każdej nocy wychodził Wilhelm Dziura przed swój wiejski dom, stojący na pagórku, i patrzył w niebo. Często też zastawała go matka przy rysowaniu gwiazdozbiorów i konstruowaniu własnej lunety ze szkieł od okularów.

Sytuacja, wypisz – wymaluj, jak w „Antku" Prusa czy Sienkiewiczowskim „Janku Muzykancie". Z tą tylko różnicą, że bohaterowie tych nowel chcieli rozwijać swoje zdolności, ale nie mogli, a bohater tego artykułu...

Zaczęło się...

Piętnastoletni Wilhelm zainteresował się astronomią po przeczytaniu w dzienniku „Gromada – Rolnik Polski" artykułu z dziedziny astronomii oraz obejrzeniu mapy nieba, wyciął ją sobie i postanowił – jak mówi – sprawdzać, czy to niebo naprawdę tak właśnie wygląda. Silną wolę ćwiczył przez wstawanie o różnych porach nocy, by patrzeć na niebo.

Kiedyś przeczytał w „Nowinach" artykuł o astronomie – amatorze ze Stalowej Woli. Postanowił napisać do niego. Po kilku wymienionych między sobą listach obaj, mimo różnicy wieku, zaprzyjaźnili się. Bardziej doświadczony pan ze Stalowej Woli przesłał Wilhelmowi kilka książek i opisy konstrukcji możliwych do zbudowania przez amatora instrumentów optycznych.

Własna luneta

Skonstruował ją opierając się na wskazówkach korespondencyjnego przyjaciela. Wprawdzie soczewkami były tylko szkła okularowe, ale zawsze już inaczej patrzyło się na niebo, a nawet na astronomię w ogóle. Tym bardziej, że miał już bogatszą literaturę fachową i więcej map nieba.

Tak więc wciągnęła Wilhelma ta astronomia. Szczególnie interesowało go słońce, roje meteorytów, zaćmienia. Tylko matce i ludziom we wsi nie za bardzo się to podobało.

– Co mu przyjdzie z tego patrzenia w niebo? – gadali – i to w tyle wieków po Koperniku. – Co poniektórzy i bardziej złośliwi nazywali nawet Wilhelma „Kopernikiem" z Grzegorzówki.

Nie zrażał się tym wcale. Nadal obserwował, rysował, obliczał, tyle że w szkole postanowił nie wtajemniczać nikogo w swoją astronomiczną działalność.

Odkrycie

– **Niezmiernie dziwny zbieg okoliczności** – mówi Wilhelm – **31 sierpnia dostałem wiadomość o śmierci przyjaciela ze Stalowej Woli, a na drugi dzień nastąpiło odkrycie. Doszło do niego zupełnie przez przypadek i może tylko dzięki temu, że długo patrzyłem na niebo bez instrumentu optycznego. Gdy w ów wieczór spojrzałem na niebo, od razu spostrzegłem, że coś jest nie tak. Popatrzyłem do atlasu, obliczyłem współrzędne, to było coś nowego!**

– **Moim wielkim błędem było** – kontynuuje Wilhelm – **że nikomu nie powiedziałem o moim odkryciu, ale to tylko dlatego, że nie wierzyłem, iż ja mógłbym coś odkryć.**

Dopiero na drugi dzień napisał do redaktora naczelnego „Uranii", od którego otrzymał wiadomość, że obok dwóch Amerykanów i Japończyka, on właśnie jest trzecim w świecie odkrywcą nowej gwiazdy tzw. Nowa Cygni (w gwiazdozbiorze Łabędzia).

W szkole

O odkryciu, jakiego dokonał Wilhelm, dowiedziano się z gazet i kiedy pokazano go w telewizji, dla uczniów tyczyńskiego liceum, do którego Wilhelm uczęszczał (będąc uczniem klasy maturalnej) – to była sensacja. Nauczyciele byli zaskoczeni.

Czwarta klasa, a więc najwyższy czas zdecydować o wyborze zawodu. Wilhelm trudności z przedmiotami ścisłymi nie miał, a materiał z astronomii miał w przysłowiowym małym palcu. Zachęcano go do podjęcia studiów na astronomii. Wilhelm wybrał jednak geodezję.

– **Astronomem nie myślałem być** – mówi – **paranie się astronomią po amatorsku to piękna sprawa, ale zawodowo wydaje mi się to już nie to.**

– Czy szkoła chciała ci pomóc w dostaniu się na wydział?

– **Podobno starano się, bym poszedł bez egzaminu na fizykę, ale były to chyba tylko przysłowiowe obiecanki. Ja sam pisałem do Krakowa o wystawienie zaświadczenia, że jestem odkrywcą, ale nie mogli tego zrobić. Tak więc po tym już w zupełności zrezygnowałem z myślenia o studiowaniu astronomii.**

Dyrektor (w rozmowie telefonicznej): – Wiedzieliśmy, w jakim kierunku Wilhelm jest uzdolniony. Nawet pisaliśmy do Torunia, skąd odpowiedziano, że gdy dostarczy odpowiednie papiery, a w szczególności ten, który potwierdziłby jego odkrycie, zostanie przyjęty bez egzaminu. Ale cóż, kiedy on nie chciał. Wolał geodezję.

Wolał geodezję i pojechał do Krakowa zdawać egzamin. Zawalił matematykę. Wrócił do swojej wsi. Sytuacja rodzinna nie pozwoliła mu na ponowne przystąpienie do egzaminu.

Dostał etat w banku spółdzielczym. Zajmuje się obliczaniem wartości produkcji sprzedanej, wysokości rent i emerytur dla rolników.

Astronomii nie rzuci. Będzie nadal traktował ją jak dawniej – dla siebie. Na pytanie: jak by postąpił, gdyby raz jeszcze stanął przed wyborem: astronomia, bank spółdzielczy lub geodezja – odpowiedział, że mimo wszystko wybrałby geodezję. Uparty? Czy po prostu entuzjasta astronomii i geodeta z powołania w jednej osobie?

STANISŁAW GAZDA

Stroić czy ubierać się?

Mam 16 lat. Dziewczęta w moim wieku lubią się stroić. Mam koleżanki, które choć nie pochodzą z bogatych rodzin lub mają dużo rodzeństwa, stroją się w bardzo drogie rzeczy. Kupują drogie płaszcze i boty w komisach lub „Modzie Polskiej". Nie rozumiem jak mogą sobie na to pozwolić, dlaczego na takie zakupy zgadzają się rodzice? Nam źle się nie powodzi, bo obydwoje rodzice pracują, a mam tylko jedną siostrę. Pewnego dnia przyszłam do szkoły w nowych kozaczkach. Koleżanki pytają: „ile kosztowały?" Odpowiedziałam, że 550 zł. Usłyszałam komentarze w rodzaju: „takie tanie, nie stać cię na lepsze, a poza tym obuwie na niskim obcasie to dla małych dzieci, a nie dla 16-latki". Kozaczki nie są brzydkie, a poza tym nauczycielka przestrzegała nas przed noszeniem butów na wysokim obcasie, bo zniekształcają stopy. Ciekawa jestem czy w innych szkołach moje rówieśniczki mają podobne problemy? Proszę o wypowiedzi na ten temat.

Małgorzata

REDAKCYJNA POCZTA

Źle pojęta dorosłość

Do nowo otwartego Klubu Prasy i Książki w naszej wsi przychodzi młodzież, która po kryjomu pije alkohol i pali papierosy. Zwyczaj ten staje się coraz bardziej powszechny. Gdy jednego z kolegów zapytałem dlaczego to robi, odpowiedział: „przynajmniej nie wyglądam jak smarkacz". Moim zdaniem postępując tak, dają świadectwo o swojej niedojrzałości. Nieświadomi swojego postępowania, nie zdają sobie sprawy, jaką krzywdę sobie wyrządz ją. W przyszłości niejeden z nich może się stać nałogowym palaczem lub alkoholikiem. Ja też kiedyś tak postępowałem. Skończyłem po poważnej rozmowie z rodzicami i po własnych przemyśleniach. Doszedłem do wniosku, że nie tak należy udowadniać swoją dorosłość.

Jacek

Dziewczyny, wszystkie mi się podobacie!

Dobrze się uczę, jestem podobno koleżeński, i wesoły. Jedyną moją złą stroną są dziewczyny. Chciałbym, aby każda mną się interesowała, czy to przyjezdna czy miejscowa. Wszyscy mówią, że w naszej klasie są ładne dziewczyny. Tak, to prawda, ale każda jest jakaś dumna i niedostępna. Jak z nimi postępować?

Olek

OD REDAKCJI: Która dziewczyna lubi, gdy chłopiec interesuje się nią i wszystkimi jej koleżankami?! Możemy Cię zapewnić: żadna! Dlatego przegrywasz. Wniosek: zainteresuj się jedną, może właśnie najdumniejszą! Wyobrażasz sobie, jaką będziesz miał satysfakcję, jeśli zwrócisz na siebie uwagę takiej właśnie dziewczyny? (bs)

„11,40 GMT NEW-PORT"

MASZT

(8)

Pierwsze ostrzeżenie o zbliżającej się katastrofie przyszło pod Rozewiem. Prowadziliśmy wyścig z dużą przewagą, już bez emocji, jaka nie opuszcza nas normalnie aż do mety, gdy przeciwnicy siedzą nam „na kółku". Był to 350-milowy, pierwszy wyścig Mistrzostw Polski 74, prowadzący od startu w Gdyni, dookoła Oland Sodra Grund i wysp Christianso do mety w główkach basenu jachtowego w Gdyni. Koło wyspy Christianso mieliśmy około 10 mil przewagi nad grupką kilku jachtów. Przy słabiutkim, zachodnim wietrze i pięknej, słonecznej pogodzie uciekaliśmy już im na wschód, rozpoznając – „Tornado", „Dar Szczecina", „Hetmana" i „Lewantera" – pierwszego z klasy One Ton – tylko po kolorach spinakerów. Przez silną lornetkę widzieliśmy je z tej odległości jak cztery malutkie, pasiaste baloniki. Po paru godzinach zniknęły nam z oczu. „Ogar" w takich warunkach był bezkonkurencyjny, a wtedy wiatr zcichł i przyszły słabe podmuchy ze wschodu. Dostaliśmy je pierwsi, do tamtych dotrzeć mogły dopiero po 2–3 godzinach, więc nasza przewaga wzrosła jeszcze bardziej i stała się już nie do odrobienia.

I gdy już o tym głęboko przekonani, spokojni i szczęśliwi zbliżaliśmy się do cypla z latarnią rozewską, ktoś zauważył, że lewy, górny saling złamał się u nasady. Jego koniec (przez który przechodzi topwanta, skierowany był ku górze) przesunął się po stalowej linie wanty, wskutek czego była ona zupełnie wyluzowana. Nie groziło to natychmiastowym złamaniem masztu, płynęliśmy bowiem prawym halsem i pracowały podtrzymując maszt tylko wanty prawoburtowe. Sytuacja nie była jednak bezpieczna, gdyż wiatr wzmagał się, przechodził systematycznie i szybko z SE przez S na W i dalsze. W tym kierunku odkręcanie wiatru zmusiłoby nas do zmiany halsu. Wtedy rolę podpierania i usztywniania masztu przejęłoby olinowanie lewej burty. Poluzowanie wanty, kończącej się pod topem masztu, już nie napiętej rozpierającym ją metrowej długości, drewnianym salingiem, grozi wtedy nieuchronnie złamaniem stalowej rury masztu, a w najlepszym przypadku silnym wygięciem, uniemożliwiającym dalszą żeglugę. Trzeba było podjąć działanie bez względu na mocno już rozfalowane morze i głębokie kołysania boczne jachtu. Na stołku bosmańskim, z narzędziami, linami i pasem bezpieczeństwa, został wciągnięty na fale spinakera Andrzej. Stołek dojechał do górnych salingów, czyli na wysokość 11 metrów nad wodą.

Patrzyliśmy z niepokojem w górę jak Andrzej, szarpany przez kołysania, odrywany od masztu i uderzany o niego, trzymając się jedną ręką, drugą wiąże linę do końca salingu, potem bandażuje taśmę i liną złamane miejsce przy nasadzie. Przywiązaną do końca salingu linę owinął kilkakrotnie wokół wanty i opuścił na pokład, gdzie została zamocowana tak, by obciągała saling do dołu. Zjechał w dół posiniaczony, pokaleczony i ciężko wystraszony.

– O mało mnie tam nie zabiło. Wystarczyło raz stuknąć głową w tę cholerną rurę i stracić przytomność. Miałem wpięty karabinek pasa, więc nie moglibyście mnie opuścić.

– Nie byłoby tak źle – ktoś go pocieszał – po prostu przed tym stuknięciem trzeba się było wypiąć.

– Mam ochotę zrobić to w twoim kierunku!

Rzeczywiście, zanim ktoś by tam wyszedł, mogłoby chłopaka zatłuc na śmierć. Wyjątkowej sprawności, sile i przytomnej odwadze może zawdzięczać, że nic mu się wtedy nie stało, ponad kilka siniaków.

Po okrążeniu półwyspu hélskiego, przez krótką falę Zatoki Gdańskiej halsowaliśmy ciężko na metę w Gdyni. Dmuchała siódemka z zachodu. W obawie o całość nadwerężonego salingu, tylko na prawym halsie mogliśmy nieść topową genuę Nr 2. Wykonując zwrot, za każdym razem zmienialiśmy „dwójkę" na foka sztormowego, stawianego na wewnętrznym sztagu, który dochodzi tylko do wysokości górnych salingów. Traciliśmy na tym bardzo, mieliśmy jednak taki zapas czasu, że była to strata bez praktycznego znaczenia. Ważniejsze było dopłynięcie z całym masztem do mety. I tak ukończyliśmy wyścig z blisko czterogodzinną przewagą nad następnym jachtem, zdobywając puchar Międzynarodowego Tygodnia Zatoki Gdańskiej za generalne zwycięstwo i obejmując prowadzenie w punktacji Mistrzostw Polski. Przed następnym wyścigiem Andrzej wystrugał z deski podarowanej mu przez zaprzyjaźnionego bosmana Jacht Klubu Stal, nowy saling i założył go na maszcie. Nikt z nas nie wpadł jednak na prosty pomysł, by sprawdzić i wymienić także prawy saling, mający już za sobą równie wyczerpującą, trzyletnią służbę. Błąd ten kilka dni później srodze się na nas zemścił. Były mimo to inne, zupełnie nie zamierzone i nie oczekiwane konsekwencje tego błędu, które potwierdzić miały słuszność powiedzenia, że nie ma złego, co by na dobre nie wyszło. Wygraliśmy dwa następne wyścigi, jeden krótki, dookoła zatoki i średni, pod Łebę i z powrotem, oba w prawdziwie sztormowych warunkach.

W sztormie, którego siła dochodziła do 10 stopni, przyszło nam halsować od Rozewia do Łeby. Ten odcinek drogi był popisem Taurusów, których cała startująca szóstka wyszła na prowadzenie, wyprzedzając jakby bez wysiłku wszystkie duże jachty. Był to również piękny popis Jurka Siudego, który „Karfi", płynąc krótkimi halsami pod brzegiem, jako pierwszy osiągnął i okrążył boję. Straciliśmy do niego ponad milę i dopiero na Zatoce, niedaleko mety, wykorzystując jego zażartą walkę z „Janosikiem" udało nam się nieznacznie wyjść przed niego.

Pozostały jeszcze dwa dni do końca mistrzostw. Dwa krótkie, 30-milowe wyścigi na Zatoce. Byliśmy w świetnej formie, w doskonałych humorach, nic nie mogło nam już odebrać końcowego zwycięstwa, złotego medalu. Mogliśmy nawet, mając trzy wygrane wyścigi, dwa ostatnie ukończyć na dalszych miejscach, najgorszy rezultat jednego z nich i tak się nie liczył w ostatecznej punktacji. Nikomu jednak z nas nie przyszło na myśl, że można inaczej płynąć jak po następne zwycięstwo, wygrać wszystkie biegi, mało tego – wyrabiać jak największą przewagę, znikać z oczu przeciwnikom. No cóż, apetyty rosną, satysfakcji szukamy już nie w kolejności na mecie, ale w odległości od przeciwników, choć nie ma to żadnego, poza moralnym, znaczenia.

O 10 rano start do czwartego wyścigu. Słoneczna, piękna pogoda, bardzo silny wiatr zachodni. Na linii startu, blisko wyjścia z basenu jachtowego, zupełnie gładka woda, zasłonięta od wiatru Kamienną Górą. Jeszcze przed sygnałem startowym na większości jachtów poszły w górę spinakery, jachty ruszyły w stronę Helu jak podcięte konie. c.d.n.

KAZIMIERZ JAWORSKI

Fot. **Jan Dominowski i S. Rakowski**

Mały słownik żeglarski

Klasa One Ton – klasa jednej tony – tradycyjna nazwa klasy jachtów nie przekraczająca w/g taryfy regatowej pewnej wielkości.

Saling – rozpórka między masztem a wantą.

Top masztu – wierzchołek masztu.

Wanta – lina stalowa trzymająca maszt z boków. Zabezpiecza maszt przed wygięciem się w kierunku burt, lub złamaniem.

Topwanta – w zależności od miejsca zaczepienia na maszcie, wanty otrzymują nazwę np. zaczepiona u topu masztu – topwanta. Nazwy want związane są też z masztami, które podtrzymują: np. grotwanta, bezanwanta itp.

Hals – położenie jachtu żaglowego będącego w ruchu, w stosunku do wiatru. Jeśli wiatr wieje z prawej burty, jacht idzie prawym halsem, jeśli z lewej – lewym.

Stołek bosmański – deseczka, na której wciąga się żeglarza na maszt, w celu wykonania jakiejś pracy.

Fał – lina takielunku ruchomego, służąca do podnoszenia żagli i części omasztowania.

Genoa – większy żagiel przedni, polepszający zdolność chodzenia jachtu na wiatr.

Fok – główny żagiel na przednim maszcie. Na jachtach jednomasztowych fokiem zwany jest trójkątny żagiel przedni, podnoszony na foksztagu (sztagu foka).

Sztag – lina stalowa usztywniająca maszt z przodu, umocowana do dziobu jachtu.

Taurusy – typ jachtów budowanych m. in. przez Stocznię Jachtową im. Leonida Teligi w Szczecinie.

Może Wasi dziadkowie lub rodzice coś wiedzą na ten temat? Zagadka nadal pozostaje nie rozwiązana

TAJEMNICA „KSIĘGI ELBLĄSKIEJ"

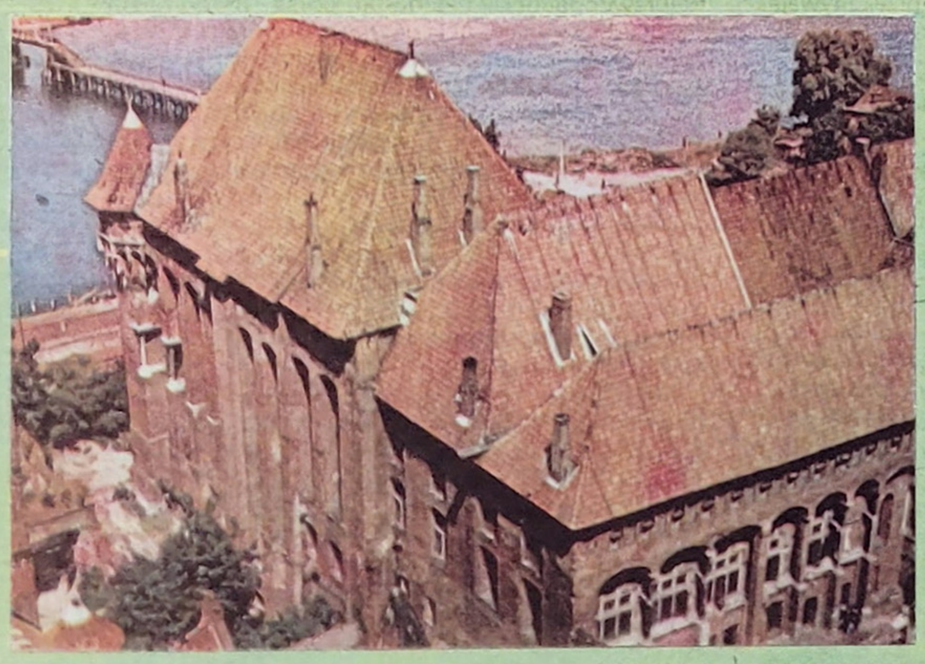

Potężna siedziba Krzyżaków w Elblągu nie zachowała się do naszych czasów

Historia ta wzięła swój początek w średniowiecznym Elblągu. Miasto wraz z innymi ziemiami pruskimi znalazło się pod panowaniem rycerzy Zakonu Krzyżackiego. Elbląg zajmował ważne miejsce w państwie krzyżackim. Już w pierwszych latach obecności Krzyżaków w Prusach zbudowali oni tutaj potężny zamek. Do czasu ustalenia siedziby Wielkiego Mistrza w Malborku, właśnie Elbląg był stolicą państwa krzyżackiego.

W XIV wieku w jednej z mrocznych sal zamkowych urzędnik zakonny Piotr Holcwesscher, pochodzący z Malborka, spędził lata nad pracą zleconą mu przez elbląskiego komtura. Dzień za dniem mnich Piotr z mrówczą cierpliwością gęsim piórem zapisywał kartę za kartą cielęcego pergaminu. Gdy wytrwały kopista skończył swe dzieło, pergaminowe karty zamkowy stolarz oprawił w grube okładki z dębowej deski, a kowal przykuł księgę łańcuchem do stołu w jednej z sal zamku.

Rękopis Piotra Holcwesschera sporządzony został dla urzędników krzyżackich. Zawierał on spis praw obowiązujących w państwie krzyżackim. Według nich sędziowie z czarnymi krzyżami na płaszczach rozstrzygali spory pomiędzy poddanymi.

Na ziemiach, które zagarnęli Krzyżacy zamieszkiwała prócz rdzennych mieszkańców także ludność polska rządząca się od dziesiątków lat własnymi zwyczajowymi prawami. W rękopisie krzyżackiego kopisty znalazł się również spis tych odwiecznych polskich praw.

SKARB APTEKARZA NEUMANNA

Mijały wieki. Upadło państwo krzyżackie. Zaginęła pamięć o Piotrze Holcwesscherze i jego rękopisie. Nadeszła epoka wojen napoleońskich. Żył wówczas w Elblągu kupiec tekstylny, Abraham Grübnau, poza handlem zajmujący się zbieraniem wszelkich źródeł o historii swego miasta. Kiedy do Elbląga wkroczyły wojska francuskie, dowódca taborów polecił dokonać rekwizycji towarów z kantoru Grübnaua. Kupiec znalazł się u progu bankructwa i zmuszony był sprzedać kompletowaną latami bibliotekę.

Znaczna część tych zbiorów znalazła się w archiwum miejskim. Tam po kilku latach w stercie nie uporządkowanych papierów odnalazł krzyżacki rękopis Ferdynand Neumann, aptekarz i radca miejski. Zamiłowany historyk-amator od razu zorientował się jak wielkie znaczenie naukowe ma zakurzony manuskrypt. W historycznych zawieruchach zaginęła większość nielicznych przecież ksiąg średniowiecznych. Odnaleziony rękopis Piotra Holcwesschera był najstarszym zachowanym spisem średniowiecznego pra-

Ludzie i atole czyli wędrówki po Mikronezji **GUAM (2)**

PIRACKI SKARB

Jim okazał się studentem czwartego roku biologii miejscowego uniwersytetu (University of Guam) – nic nie stracił przy bliższym poznaniu. Jak wielu innych mieszkańców swej rodzinnej wyspy, był Metysem, nosił nazwisko o hiszpańskim brzmieniu i był z tego dumny.

Gwarzyliśmy z Jimem. On wyznał mi, że bardzo chciałby pojeździć na nartach, takich śnieżnych, jakie widział w kinie, bo z surfingiem i nartami wodnymi radzi sobie nieźle. Ja zasięgałem jego rad w sprawie wysp Mikronezji i muszę przyznać, że rady Jima niejednokrotnie potem bardzo mi się przydały.

Z naszej rozmowy wynikało niedwuznacznie, że Jim – także prywatnie – jest strasznym gadułą i bardzo lubi opowiadać. Nie omieszkałem tego odkrycia zaraz wykorzystać.

– Jim, a może znasz jakieś stare, bardzo stare legendy z czasów przedhiszpańskich? Jakieś baśnie, które Chamorrosi opowiadali swoim dzieciom, które ty sam słyszałeś od babci?

Dziś Guam jest jednym z miejsc chętnie odwiedzanym przez japońskich turystów. Wprawdzie po pirackich skarbach nie pozostało już śladu, ale czyste wody wokół wyspy obfitują w okazy oceanicznej fauny

– Owszem – zapalił się przyszły biolog – najczęściej słyszałem w dzieciństwie opowieści o wielkim wodzu imieniem Taga. Legenda mówi, że urodził się tutaj, na Guamie, długo żył na sąsiedniej wyspie Rota, też odkrytej przez flotę Magellana.

– Pewnej nocy – ciągnął Jim – ojciec Taga, który uchodził za największego siłacza na wyspie, zastał syna polującego na plaży na tłuste i smaczne kokosowe kraby. Chłopiec leżał na piasku z pochodnią w jednej ręce, a drugą wygrzebywał dziurę pod korzeniami palmy. *„Potrząśnij palmą* – zażartował ojciec – *może go wystraszysz z kryjówki"*.

Chłopiec wyciągnął rękę z dołka i powiedział: *„Ja zrobię lepiej, niż mi radzisz."* To rzekłszy, chwycił pień palmy obiema rękami i... wyciągnął ją z korzeniami. Potem odrzucił drzewo i pochwycił przerażonego tłustego kraba.

„Taga, ty jesteś zbyt silny – rzekł ojciec po tej demonstracji siły. – *Jeżeli pozwolę ci dorosnąć, to będziesz próbował mnie zabić, aby samemu zostać wodzem. Część naszych ludzi będzie po twojej stronie, część po mojej. Lepiej będzie jeśli ja zabiję ciebie teraz, aby uniknąć w przyszłości wojny domowej na wyspie."*

Co powiedział – chciał wykonać. Uniósł wielką maczugę i zaczął gonić syna. Taga biegł co sił, najszybciej jak tylko mógł, aż dobiegł na wysoki brzeg północnego krańca wyspy.

„Teraz mi nie uciekniesz" – ucieszył się wyrodny ojciec i zaczął zbliżać się do syna...

Dla Taga nie było już drogi odwrotu. Cofnął się kilka kroków, rozpędził i skoczył. Zwykły człowiek zabiłby się pewnie na rafach okalających klif, ale Taga nie był zwykłym człowiekiem. Mocne nogi pozwoliły mu wykonać potężny skok. Taga wzbił się w powietrze, a potem wylądował na Rota, odległej o 35 mil od Guama. Tam wżenił się w szlachetną rodzinę, miał wiele dzieci. Został wielkim wodzem, długo i szczęśliwie przewodził Chamorrosom – kończył opowieść Jim. – Jeśli dotrzesz na Rota, ludzie pokażą ci odcisk jego stopy w skale na Puntan Patgon, to jest tam, gdzie Taga wylądował.

Podziękowałem Jimowi za piękną opowieść, ale nie poprzestałem na tej jednej. Udało mi się sprowokować nową powiastkę, tym razem podobno autentyczną. Rozpoczęło ją stwierdzenie, że na Rota lądowało wielu odkrywców, a między innymi także piraci, np. w roku 1588 sławny Thomas Cavendish oraz William Dampier – 1705 r.

– Słuchaj! O piratach mam story, która brzmi jak bajka, ale bajką nie jest. I to wszystko, chłopie, działo się tu, pod ręką, i stosunkowo niedawno. Dziewiętnasty wiek odpowiada ci? – pytał figlarnie Jim.

Skinąłem głową i zanurzyłem się w nieprawdopodobnej historii, niczym hiszpański galeon w morzu. Całe opowiadanie w streszczeniu brzmiało mnie więcej tak:

Około roku 1820, na fali rewolucji wyzwoleńczej w Południowej Ameryce pojawił się w Peru i Chile Szkot nazwiskiem Robertson. Człowiek ten patologicznie nienawidził Hiszpanów i niejednokrotnie już dobrze im zaszedł za skórę. Robertson – hiszpanożerca był utalentowanym żeglarzem i w chwili, kiedy historia się zaczyna, służył na okręcie peruwiańskim „Congreso" jako zastępca dowódcy. Jednocześnie kochał się szaleńczo w pewnej niemłodej a sprytnej wdówce. Na zaspokojenie jej kaprysów nie starcza mu, niestety, skromna pensja oficera marynarki.

I wtedy los zsyła Robertsonowi szczególną okazję. Na redę portu wchodzi okręt o nazwie „Peruvian", który ma na swoim pokładzie dwa miliony piastrów w złocie.

Szkot decyduje się szybko. Tego samego wieczoru, kiedy dowiedział się o drogocennym ładunku, werbuje czternastu rzezimieszków; pod osłoną nocy wdzierają się na pokład, mordują załogę, a statek wyprowadzają w morze.

Na pełnym oceanie powtarza się stara jak świat historia o wzajemnej nieufności piratów i dążeniu każdego z nich do zagarnięcia jak największej części łupów.

Początkowo jednak piraci są w euforii i snują marzenia o raju, który ma im zapewnić skradzione złoto. Formuła szczęścia dla prostych marynarzy nie jest skomplikowana; piękne kobiety i alkohol w nieograniczonych ilościach. Po naradzie zapada więc postanowienie: kurs na Tahiti, gdzie można zaopatrzyć się w ten wymarzony towar, a następnie żegluga ku jakiejś bezludnej wysepce na Marianach, zdatnej na marynarski raj. Tak też zrobiono.

„Peruvian" po zawinięciu na Tahiti rusza znowu na morze. W owym czasie jednak zachłanny Robertson werbuje już na statku ośmiu wspólników, z pomocą których pozbywa się reszty załogi. Wysadzeni na szalupę ludzie giną, z wyjątkiem jednego, który cudem uratowany, szeroko głosi na Wyspach Hawajskich około roku 1828 łotrostwa Robertsona i jego kompanów.

„Peruvian" wciąż błąka się po oceanie. Wystraszone kobiety z Tahiti szepcą o nim po kątach, bojąc się o swój los. Owe szepty Robertson uznaje za spisek i przekonawszy resztę załogi, morduje je wszystkie. Odtąd nie ma już ani krzty zaufania na pirackim okręcie. Nikt nie ufa hersztowi, herszt boi się podkomendnych. Zwołano ponownie naradę i postanowiono chwilowo skarbu nie dzielić, lecz ukryć go na wyspie Agrigan w archipelagu Marianów. Zamiar ten wykonano, zadowalając się chwilowo podziałem kapitańskiej kasy zdobytej na statku.

JANUSZ WOLNIEWICZ

Fot. **archiwum**

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

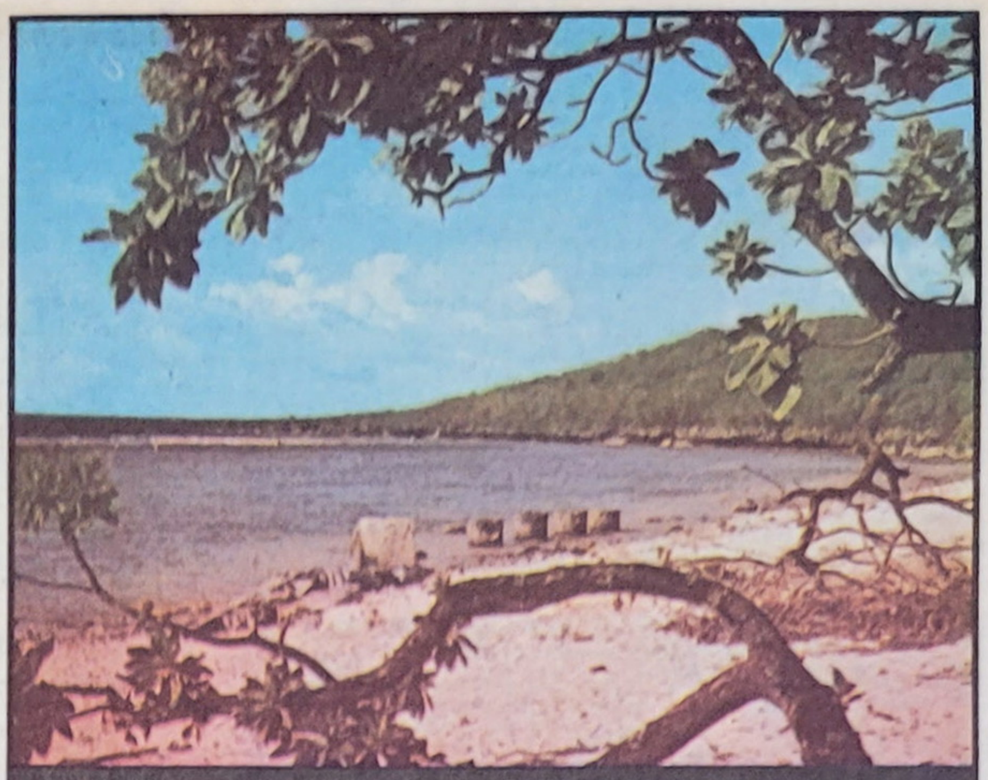

Na plażach zachowały się jeszcze szczątki japońskich umocnień

Ogromne bloki skalne zgromadzone w parku Latte Stone świadczą, że kiedyś na Guam istniała tajemnicza i niezwykła cywilizacja. Niestety, nasza wiedza na ten temat jest bardzo uboga

Budynki Uniwersytetu na Guam. Tu studiuje Jim, który tak zajmująco potrafi opowiadać o pirackiej przeszłości tej części Pacyfiku

wa. Był to bezcenny skarb dla nauki.

Neumann przez wiele lat trzymał swoje odkrycie w tajemnicy. Dopiero w 1866 roku historycy polscy dowiedzieli się o istnieniu tak dawnego spisu polskiego prawa zwyczajowego. Elbląski aptekarz nie chciał jednak nawet słyszeć o sprzedaży, czy choćby o sfotografowaniu rękopisu. Upór starca przełamał w końcu młody krakowski historyk Adam Sierakowski, który – korzystając z częstych przejazdów przez Elbląg – tak uporczywie nachodził Neumanna, aż ten w październiku 1867 roku udostępnił mu rękopis. Sierakowski przekalkował go i kopia stała się podstawą pierwszego wydania, które ukazało się w Krakowie w maju 1868 roku.

CZARNA LIMUZYNA

W tym samym roku Neumann ofiarował rękopis nazwany „Księgą elbląską" bibliotece miejskiej w Elblągu. W jednym z bibliotecznych pokoi znajdowała się duża oszklona szafa z dębowego drzewa, w której przechowywano najcenniejsze i najstarsze manuskrypty i starodruki. Wśród nich umieszczono „Księgę elbląską". W szafie tej manuskrypt Holcwesschera przeleżał aż do ostatniego okresu II wojny światowej.

W ostatnich tygodniach 1944 roku hitlerowcy przystąpili do ewakuacji elbląskich zbiorów. Do miasta zbliżały się wyzwoleńcze oddziały II Frontu Białoruskiego. W pierwszej kolejności hitlerowcy wywieźli zasób archiwum miejskiego. Archiwalia powędrowały do Grasleben, skąd wróciły do Polski w ramach rewindykacyjnej akcji w 1947 roku. Zbiorów bibliotecznych nie zdążyli już Niemcy wywieźć. Zaskakująca, szybka ofensywa armii radzieckiej w lutym 1945 r. pokrzyżowała im plany.

Na kilka godzin przed wkroczeniem oddziałów radzieckich do Elbląga pod gmach biblioteki podjechała duża czarna limuzyna. Wysiadło z niej kilku mężczyzn w mundurach SS. Wbiegli szybko po schodach. Po kilkudziesięciu minutach wyszli, każdy z nich dźwigał naręcze starych ksiąg. Limuzyna ruszyła z piskiem opon...

ZAGADKOWE ZAGINIĘCIE

Księgozbiór biblioteki miejskiej nie uległ zniszczeniu ani podczas działań wojennych, ani w czasie pożaru, który ogarnął Stare Miasto. Od bombardowań ucierpiał natomiast poważnie budynek biblioteki. W zrujnowanym gmachu rozpadły się szafy i regały. Książki walały się po podłodze i korytarzach. Pierwsze władze miejskie wyzwolonego Elbląga nie miały czasu zająć się zabezpieczeniem zbiorów. Przede wszystkim trzeba było zapewnić ludności środki najbardziej niezbędne do życia: żywność, wodę, lekarstwa i opał. Korzystając z tego wielu zbieraczy i zwykłych szabrowników bezprawnie „zabezpieczało" pewną część zbiorów, zabierając dla siebie co cenniejsze książki z biblioteki.

Kiedy wreszcie przystąpiono do inwentaryzacji księgozbioru okazało się, że brak w nim najwartościowszych manuskryptów i starodruków. Brakowało także najcenniejszego zabytku – rękopisu Piotra Holcwesschera. Długotrwałe poszukiwania nie przyniosły efektów. Znany polski badacz historii prawa prof. Józef Matuszewski przez wiele lat szukał manuskryptu w całym kraju. Pomagał mu radziecki historyk B. D. Grekow, który przewertował dokładnie wszystkie archiwa radzieckie. Bez rezultatu. Do dnia dzisiejszego nie udało się odnaleźć zaginionej w zagadkowych okolicznościach „Księgi elbląskiej".

Sceptycy twierdzą, że uległa ona zniszczeniu w czasie działań wojennych. Jest to jednak twierdzenie mało przekonywające. Najprawdopodobniej „Księga elbląska" znajdowała się wśród książek wywiezionych przez Niemców w tajemniczej limuzynie. Nikt nie wie, kto w niej jechał i w jakim kierunku udała się ona po opuszczeniu miasta. Być może do dziś rękopiśmienny zabytek przechowywany jest w tajemnicy przez ekshitlerowca, który w popłochu uciekał w głąb Rzeszy w 1945 r.

Możliwe też, że dzieło Piotra Holcwesschera uniknęło wywiezienia przez Niemców. Może trafiło w ręce jednej z tych osób, które zapominając o uczciwości zabierały książki ze zburzonej biblioteki?... Ten hipotetyczny właściciel manuskryptu powinien wiedzieć, że ukrywając go czyni niepowetowaną szkodę polskiej nauce.

„Księga elbląska" jest bezcennym zabytkiem polskiej kultury narodowej. Jej miejsce jest wyłącznie w publicznych zbiorach państwowych. Tylko naukowa opieka konserwatorska może uchronić średniowieczny pergamin przed niepowstrzymanym, niszczącym działaniem czasu, a naukę polską przed bezpowrotną utratą oryginału źródła. Dlatego trzeba dołożyć wszelkich starań, by wyjaśnić tajemnicę zaginięcia „Księgi elbląskiej".

Może Wasi dziadkowie lub rodzice wiedzą coś na ten temat?

Może pracowali przy ewakuacji archiwum miejskiego lub uczestniczyli w przygotowaniach do wywiezienia biblioteki?

Może pamiętają losy elbląskich zbiorów w pierwszych dniach po wyzwoleniu? Zapytajcie i napiszcie do naszej redakcji.

KRZYSZTOF DOŃSKI

Fot. **archiwum**

Umówiłam się wczoraj z Marzeną, że przyniesie mi jedną książkę. Sama się zaofiarowała, a ja bardzo się z tej oferty ucieszyłam, bo inaczej musiałabym iść do czytelni, czego serdecznie nie lubię. Na wszelki wypadek dopytywałam się, czy aby na pewno może mi ją przynieść, bo ja sama mogłabym do niej po ową książkę wpaść, ale Marzena wolała przyjść z nią do mnie. I... nie przyszła. W międzyczasie czytelnię zamknięto, więc nawet ta kiepska ewentualność mi odpadła. Trochę się łamałam, ale ponieważ na książce naprawdę mi zależało, więc około ósmej sama do Marzeny (wbrew umowie) podreptałam. Zastałam ją przegrywającą jakieś melodie z jednego magnetofonu na drugi. Zdziwiła się na mój widok. „Oh – mówi – to już tak późno?! Zupełnie nie zauważyłam, że tak czas zleciał".

Wracałam od niej miotana wściekłością, że tak mnie wykiwała. Nie ze złej woli, z gapiostwa po prostu, ale co to dla mnie za różnica. Zmarnowałam full czasu bezsensownie na nią czekając. Dobrze, że sama poszłam, bo ona by już potem nie przyszła. I krygowałaby się na drugi dzień, że jej strasznie, strasznie przykro. I co z tego?! Mnie wcale nie zależy na tym, żeby jej było przykro i okropnie się czuję, jak mnie ktoś przeprasza. Nawet jak jest winien. Tak jak Marzena.

Chociaż, właściwie... mogłam się tego spodziewać. Marzena bardzo często jest niesłowna. Podobnie zresztą jak i wielu innych ludzi. Dla niektórych tak mało znaczy ich własne słowo, że dziwią się gdy inni swych obietnic dotrzymują. Nie zapomnę – to było jeszcze w ósmej klasie – osłupienia Wojtka, gdy Ulka przytaszczyła mu do szkoły jakieś płyty, o których poprzedniego dnia była mowa, że Wojtek bardzo by je chciał przez kilka dni mieć. Ona mu obiecała, że je przyniesie, on wylewnie jej za to podziękował, ale... chyba nie wierzył, bo tak się potem kosmicznie zdziwił.

Ulka należy do nielicznych osób, spośród znajomych, które jak coś powiedzą, to rzecz jest na mur zaklepana. Właściwie, to tylko mój tata taki jest i Ulka. Bo nawet mamie zdarza się obiecać coś, czego potem nie dotrzyma. Jak się głębiej nad tym zastanawiam, to dochodzę do wniosku, że właśnie to jest zasadniczą podstawą naszej z Ulką tak długiej przyjaźni. Bo znam całą masę dziewczyn sympatyczniejszych od niej, weselszych, dowcipniejszych, o większej fantazji... Ale tak naprawdę liczyć mogę tylko na nią. Wiem to, bo nigdy się na niej nie zawiodłam. Ona na mnie parę razy – tak. A ja – wstydzę się tego. Tylko... co jej przyjdzie z mojego wstydu?! Hm, głupia sprawa...

ANKA

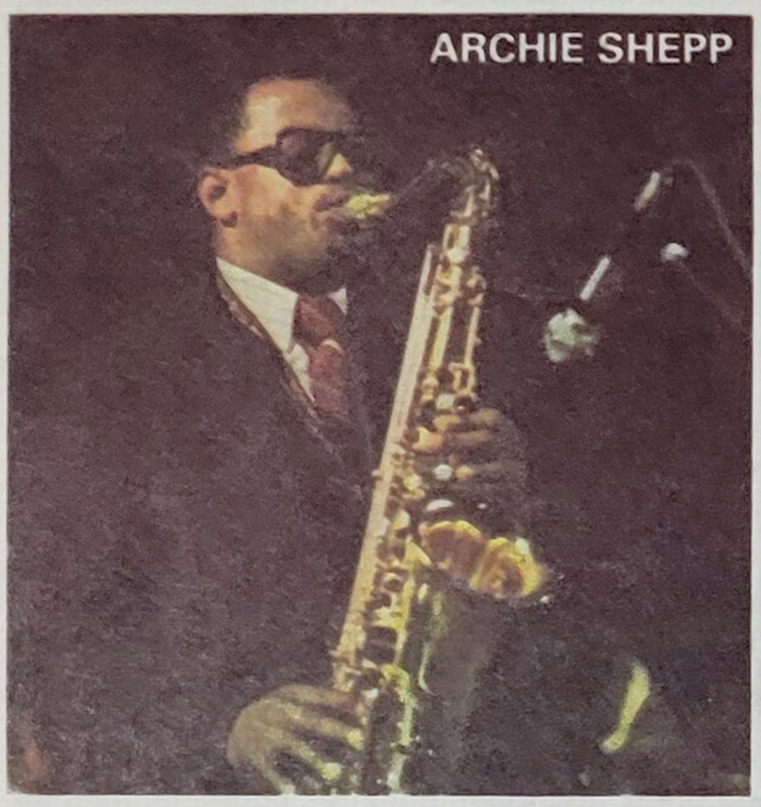

Jazz Jamborée'78

BLASKI I CIENIE

Trudno już sobie wyobrazić ostatnie dni października bez Jazz Jamborée. Kto wie, czy nie doczekamy się srebrnych godów tej imprezy i tak już najstarszej na świecie. A propos jubileuszów; minęło właśnie czterdzieści lat od chwili, gdy jazz zabrzmiał po raz pierwszy w sali koncertowej, a było to w roku 1938 w słynnej Carnegie Hall, gdzie wystąpił big band Benny Goodmana...

Program XXI Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Jazzowej „Jazz Jamborée'78" był atrakcyjny. Zaproszono zespoły z krajów socjalistycznych, nie zawsze... najlepsze, ale na pewno interesujące grupy i solistów z krajów zachodnich, gwiazdy jazzu, oraz jazzmanów polskich, którym chciałbym poświęcić osobny akapit, a to dlatego że dzieje się z polskim jazzem coś niedobrego, o czym warto chyba już teraz mówić, zanim będzie za późno. Archie Shepp. Thad Jones (Mel Lewis Orchestra), Betty Carter, Dexter Gordon – wielka muzyka, wielkie nazwiska. Podałem je w kolejności programowej. Trudno zresztą o inną, bo przecież każdy z tych wykonawców reprezentuje w jazzie poziom najwyższy. Mogę tylko napisać, że mnie big band Jonesa Lewisa podobał się najbardziej. Zatem o nim właśnie... Wizytówki obu liderów: trębacz Thad Jones, brat perkusisty Elvina Jonesa, terminował w orkiestrach Count Basiego i Gerry Mulligana, perkusista Mel Lewis grał niemal ze wszystkimi czołowymi jazzmanami, m.in. z Benny Goodmanem, Lesterem Youngiem, Colemanem Howkinsem, Benem Websterem, Dizzy Gillespiem, Milasem Davisem. Obaj panowie wpadli na pomysł zorganizowania big bandu w roku 1966, kiedy to właśnie wielkie orkiestry plajtowały jedna za drugą. Ale Mel Lewis Orchestra nie podzieliła losu innych, renomowanych zespołów. Istniała, koncertowała, nagrywała. Po jedenastu latach działalności uznano ją za najlepszą na świecie (w ankiecie „Down Beat" za rok 1978 – pierwsza znowu).

Dla mnie Thad Jones (Mel Lewis Orchestra) to przede wszystkim znakomite aranżacje, bezbłędnie realizowane przez piekielnie zdolnych, sprawnych warsztatowo instrumentalistów, z których podobali mi się najbardziej saksofonista Rich Perry i trębacz Irvin Stokes, nie mówiąc już o samym Jonesie. Archie Shepp to nie tylko świetny saksofonista, ale także kompozytor, pedagog, poeta, aktor i dramaturg. Tę mnogość zainteresowań można też zaobserwować w jego grze, w której słychać i bluesa, i rhythm and bluesa, i hard bop i free. Ale przecież nikt nie powie, że Shepp naśladuje. Taka jest po prostu ta j e g o muzyka.

Carter jest w Polsce mało znana. Trzeba więc przypomnieć, że urodziła się w Flint, małym miasteczku stan Michigan w roku 1930, że zadebiutowała w roku 1946, że śpiewała z orkiestrą Lionela Hamptona, która grała jej aranżację (!), że występowała z Milesem Davisem, Sonny Rollinsem, że w tegorocznej ankiecie krytyków w „Down Beat" zajęła drugie miejsce, zaraz za Sarą Voughan. Takiego życiorysu artystycznego mogłaby pozazdrościć Betty Carter niejedna znana wokalistka jazzowa. Zgadzam się z tymi krytykami, którzy widzą w Betty Carter „najwrażliwszą wokalistkę od czasów Billie Holiday". Śpiewa „wokalnie" i „instrumentalnie". W pierwszym wypadku tekst jest dla niej sprawą najważniejszą, podporządkowuje jego interpretacji sprawy muzyczne, w drugim przypadku imponuje niezwykłą wprost wyobraźnią harmoniczną i rytmiczną w improwizacjach.

Dexter Gordon to historia muzyki jazzowej. Ten 55-letni tenorzysta grał z wieloma znakomitościami; co więcej, uważa się, że był dla nich wielkim autorytetem. Między innymi „podpatrywali" go Sonny Rollins i John Coltrane. Mniej więcej od roku 1971 Dexter Gordon przewodzi światowej elicie tenorzystów. I choć w Warszawie nie był w najlepszej formie, to jednak udowodnił, że ten prawdziwy jazz grać potrafi.

Wystąpiły w Sali Kongresowej zespoły polskie: The Quartet, Laboratorium, Kwartet Jana Ptaszyna Wróblewskiego, Crash i Swing Session. Tylko ten pierwszy zespół można uznać za fromację nową, choć grają w niej znani, doświadczeni instrumentaliści: Janusz Stefański, Paweł Jarzębski, Tomasz Szukalski i Sławomir Kulpowicz, cztery pozostałe zespoły pracują od dawna. Po Quartecie można się spodziewać niejednej miłej niespodzianki, pod warunkiem, że Sławomir Kulpowicz powróci do Fendera, bo klasyczny fortepian na pewno nie jest „jego" instrumentem. Generalnie: ciągle te same nazwiska, od czasu do czasu w innych konfiguracjach personalnych. Co się dzieje z wychowankami PWSM w Katowicach? Reklamę tej placówce zrobiono wielką, zaczęło się o jej studentach mówić i pisać i... Gdzie oni są, co robią? Młodych, utalentowanych muzyków jazzowych, wywodzących się z ruchu amatorskiego poznawaliśmy na Jazzie nad Odrą. Dlaczego tegoroczni laureaci nie wystąpili na Jazz Jamborée? Czyżby rację miał nasz znakomity organista Wojciech Karolak, który powiedział przedstawicielowi „Jazz Forum": „...Obserwując festiwale „Jazz nad Odrą" trzy–cztery lata temu odnosiłem wrażenie, że w ciągu paru lat przybędzie nam wielu bardzo dobrych jazzmanów, z którymi będzie można pracować. Pojawiły się bardzo sensownie ukierunkowane zespoły: Extra Ball, Laboratorium, Warsztat... Sprawa przybrała jednak zupełnie nieoczekiwany obrót. Ludzie, których nagradzano na „JnO", zamknęli się potem w swych hermetycznych zespołach i okazali godny pozazdroszczenia talent do businessu. Odizolowali się od tego, co jeszcze niedawno można było uznać za główny nurt polskiego jazzu i utworzyli – na boku – zgrane drużyny, które stopniowo, przez konsekwentne popychanie swoich spraw osiągnęły raptem sukcesy porównywalne chyba tylko z tym, co dzieje się w popularnej muzyce młodzieżowej... Kolekcjonerzy sukcesów wiedzą, co robią. Polski Jazz wkracza jakby w okres „przemysłowy". Zaczyna się hurtowy handel jazzopodobną muzyką, skrojoną dokładnie według gustu publiczności.

Kiedy myślę o nowej generacji polskich jazzmenów wspominam, jak myśmy dochodzili do jazzu i porównuję, jak oni to robią. My słuchaliśmy wszystkiego: od Armstronga po Coltrane'a i wyciągaliśmy z tego jakieś bardzo ogólne wnioski. Każdy sobie wypracowywał dosyć indywidualną muzykę. Mieliśmy znacznie większe trudności techniczne, nie było dostępu do płyt, nie sprowadzano do Polski żadnych gwiazd światowych, nie było żadnych warsztatów ani jazzu w radiu. Był tylko Conover. A jednak szybciej nauczyliśmy się grać jazz. Tak np. to, co grałem w 1958 r. to była straszliwa żałość, niezamierzone efekty humorystyczne; mam nagrania z tego okresu: tego nie da się w ogóle słuchać. Ale już w dwa lata później byłem jazzmenem. Wystarczy posłuchać nagrań z Kurylewiczem z 1960 r., to już był całkiem przyzwoity jazz, mimo że czasem myliliśmy się i coś nie wychodziło. Był jednak timing, dość dużo swingu i ta autentyczna jazzowa „szarpanina", której w ogóle nie słyszę w muzyce naszych młodych zespołów. U nich tak to jakoś bezkonfliktowo przebiega... I za każdym razem tak samo. Coś jest nie tak."

Wybaczcie, kochani, długi cytat, ale rzeczywiście „coś jest nie tak"...

Fot. **Włodzimierz Echeński**

Świat Muzyki
GAZETA MELOMANÓW

Redaguje LECH NOWICKI

AKTUALNOŚCI „POLJAZZU"

Klub Płytowy „Poljazz", którego członkiem i ty możesz zostać drogi czytelniku Świata Muzyki, dysponuje już rewelacyjną płytą „Last time" Duke'a Ellingtona, nagraną w trakcie koncertu w Warszawie w roku 1971. Ellington nie wyraził zgody na wydanie tej płyty, ponieważ jakość techniczna nagrania pozostawiała wiele do życzenia. Pozwolił wydać płytę syn Ellingtona Mercer, pod warunkiem, że jej jakość techniczna ulegnie zdecydowanej poprawie. Materiał muzyczny udało się uratować, zrekonstruować i oto możecie go przesłuchać. Prawdziwy rarytas dla kolekcjonerów, płyta nagrana w „ostatniej chwili" (LAST TIME!). Inne nowości: Jazz Legends – 11 płyt, Mercer Ellington + Adam Makowicz, Clark Terry, Academy od jazz – Getz i Brookmeyer, Warsztat Nr 1. Zapowiedzi na rok 1979: Sun Ship, The Quartet, Ossian. Przypominam adres klubu: Klub Płytowy Poljazz ul. Emilii Plater 49, 00-125 Warszawa.

„WSZYSTKO W JEDNYM SŁOWIE"

Słowa: **Krzysztof Drzewiecki**
Muzyka: **Renata Danel, Adam Hetman**
Śpiewa: **Renata Danel**

Gdy idzie noc
dorysuj uśmiech każdej z wielu gwiazd,
nie bój się łzy,
jeżeli tylko masz gdzie dzisiaj spać,
a jeśli nie – to świat cię przyjmie pod swój dach
pod nieba tłem na stu parkietach ziemi tańcz.
Świat – wszystko w jednym słowie
tańcz – niech się kręci w głowie
idź – póki ci wystarczy sił
patrz – życie jest muzyką
wiedz – szczęście przyjdzie znikąd
czas, aby zgubić podłe sny.

Pół życia już
straciłeś w szybkim biegu szarych dni,
lecz drugie pół
mieć może przecież całkiem inny rytm
jeżeli chcesz – to rzuć za siebie kilka spraw
zrób miejsce mi, do twego serca przyjdę ja.
Świat – wszystko w jednym słowie
tańcz – niech się kręci w głowie
idź – póki ci nie braknie sił
patrz – życie jest muzyką
wiedz – szczęście przyjdzie znikąd
czas, aby zgubić podłe sny.

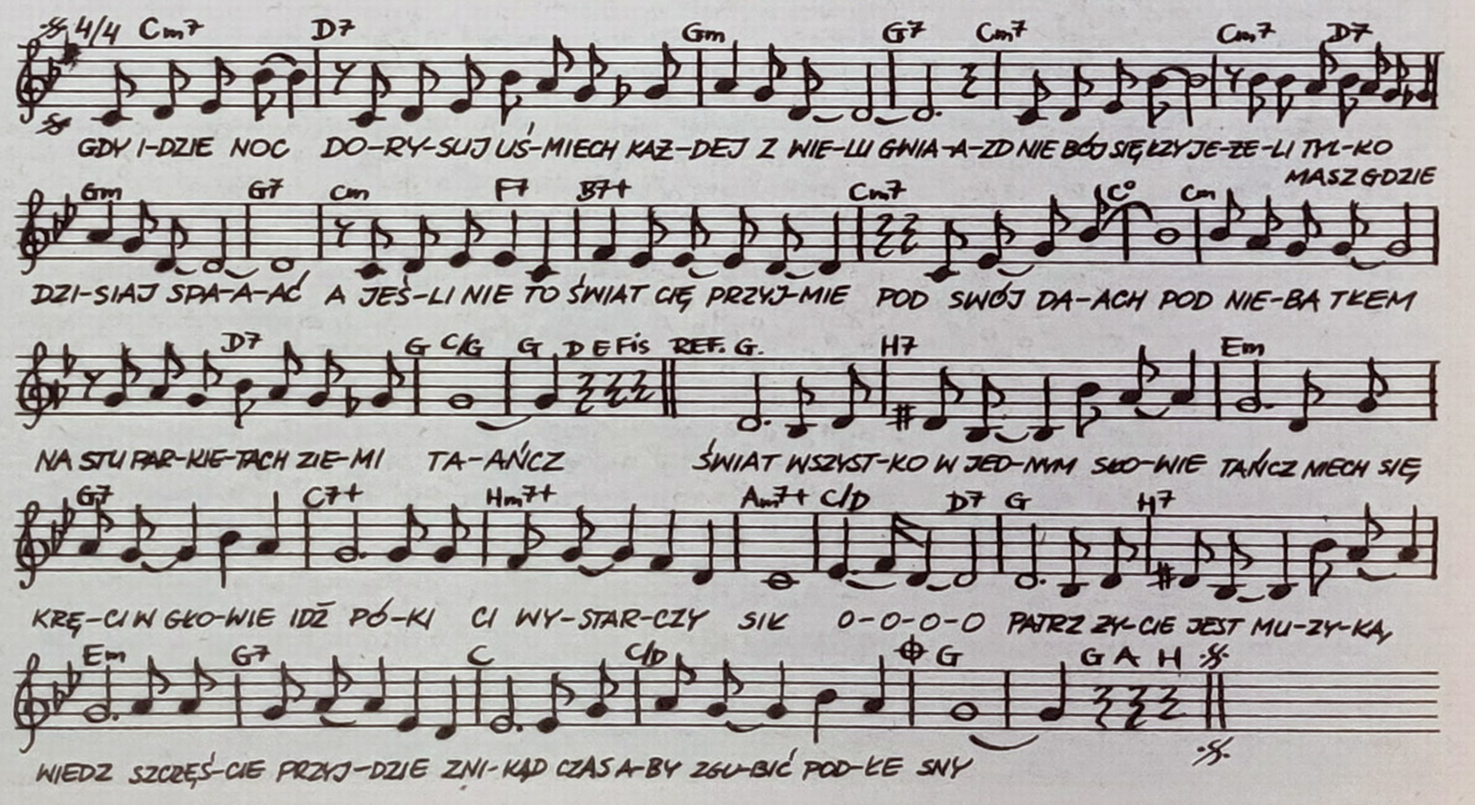

PIRACKI SKARB

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

Szkot knuje jednak dalej, wciąż uważa, że za dużo jest wspólników do zagrabionej góry złota, Roberstonowi raz jeszcze udaje się diabelski podstęp. Przy pomocy dwóch już tylko kamratów morduje resztę piratów i... zatapia statek. Sam zaś ze wspólnikami w szalupie puszcza się w morze.

Wkrótce jeszcze jeden pirat ginie z ręki herszta, a drugi żyje w nieustającym strachu, wiedząc, że Robertson jest groźnym i podstępnym przeciwnikiem. Ostatecznie jednak obaj lądują w Hobart na Tasmanii. Tam wynajmują niewielki kuter do połowu fok i wraz z jego kapitanem i załogą płyną na Mariany. Pewnego dnia ostatni członek załogi „Peruviana" w tajemniczych okolicznościach niknie za burtą. W ślad za nim wędruje kapitan kutra, wyrzucony osobiście przez Robertsona. Raz jeszcze Szkot wykazuje swą zbrodniczą zręczność. Załoga kutra podporządkowuje się rozkazom pirata w zamian za obietnicę udziału w skarbie.

Robertson, rad chwilowo z obrotu sprawy, znowu stara się jednak obmyślić plan zmierzający do pozbycia się nowych niepożądanych przecież wspólników. Tymczasem nie wie, nie może się nawet domyślać, że wyrzucony za burtę kapitan, dzięki prądom morskim i własnym umiejętnościom pływackim – zdołał dotrzeć na wyspę Tinian.

Hiszpański gubernator, zasłyszawszy o Robertsonie i jego skarbie, zarządził ekspedycję karną. Zaledwie w dwa dni później Robertson, niemal u celu, jest już zakuty w kajdany. Nie powieszono go jednak. Wyprowadzony na pokład, tak jak stał, w hiszpańskich kajdanach, skoczył za burtę, zabierając ze sobą do mokrego grobu tajemnicę schowka na wyspie, w którym leżały dwa miliony piastrów w złocie. Ówczesny gubernator Marianów – Don Medinilla, nie dał za wygraną, ale jego wysiłki nie zdały się na nic. Sześciuset sprowadzonych specjalnie na Agrigan robotników przekopało ogromny szmat wyspy – bezskutecznie.

– A więc masz jeszcze szansę, skarb Robertsona jest wciąż do wzięcia – zakończył swą opowieść Jim.

JANUSZ WOLNIEWICZ

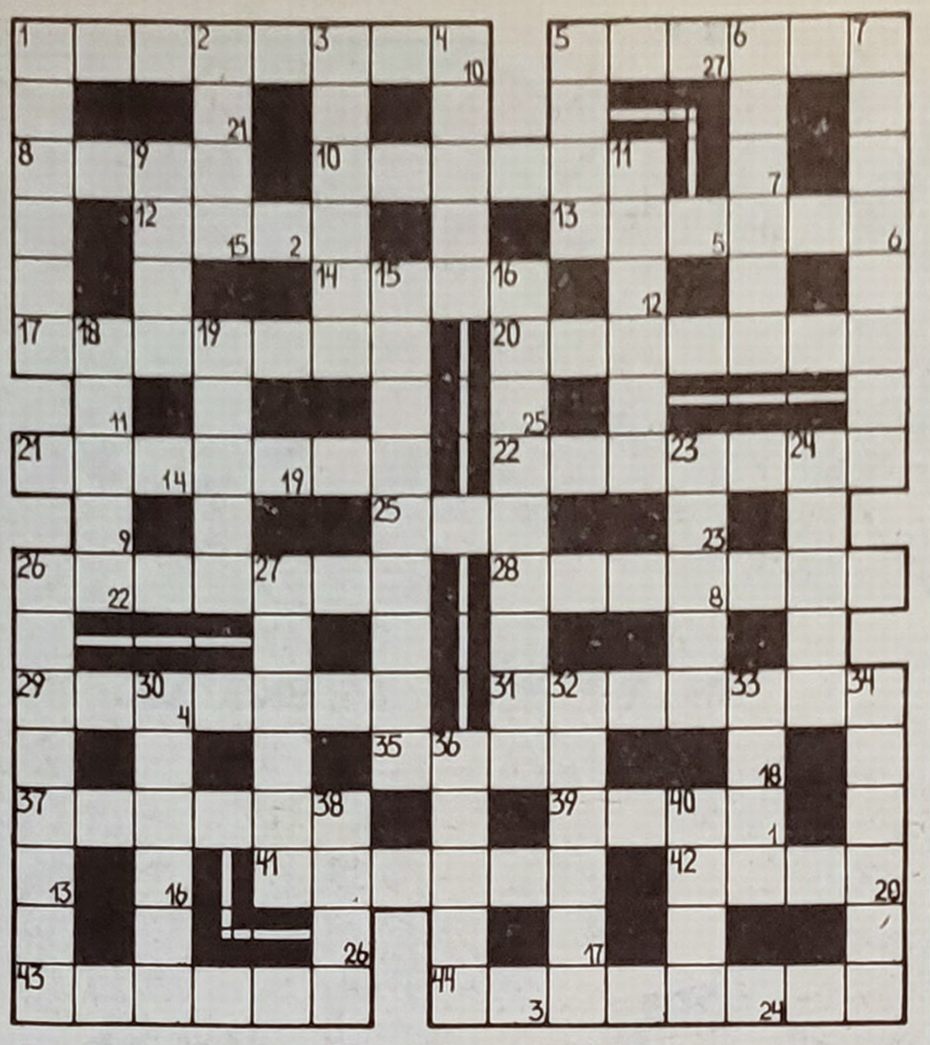

Zadanie premiowane nr 208

KRZYŻÓWKA Z HASŁEM

Po rozwiązaniu krzyżówki litery z kratek ponumerowanych w prawym dolnym rogu, napisane w kolejności od 1 do 27, utworzą rozwiązanie. Napisz je na kartce pocztowej i prześlij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 208".

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród.

ZNACZENIE WYRAZÓW

POZIOMO: 1) człowiek nie mający podstawowych wiadomości, 5) pisze lewą ręką, 8) może być kolczasty, 10) ikra jesiotra, 12) kluska ziemniaczana, 13) po deszczu niejedna tworzy się na drodze, 14) oprawa obrazu, 17) rodzaj kajaka lub roweru, 20) pseudonim Stanisława Ignacego Witkiewicza, 21) świąteczne – to choinka, 22) w niej osadzone są szkła okularów, 25) talon, 26) maszyna z czerpakiem, 28) trójkąt z drewna, 29) narciarski lub spadochronowy, 31) wóz pogrzebowy, 35) olejek różany, 37) przepływa przez Żelazową Wolę, 39) wierzchołek źdźbła żyta, 41) działo, 43) łobuziak, 44) dziewczęca zabawka.

PIONOWO: 1) „dzienniczek" studenta, 2) jacht Teligi, 3) stolica Turcji, 4) autor wiersza „Lokomotywa", 5) szarówka, 6) kabina na statku, 7) fosforowy nawóz sztuczny, 9) skwar, spiekota, 11) dawniej: żołnierz ciężkiej jazdy, 15) cyrkówka, 16) mały samolot turystyczny, 18) pochód z kwiatami, 19) szeroka ulica wysadzona drzewami, 23) korzenionóżka, 24) marionetka, 26) kościotrup z kosą, 27) ornament architektoniczny w kształcie rozwiniętej róży, 30) ceremonia, 32) tajniki jakiejś sztuki, 33) ozdoba suma, 34) kura niosąca jaja, 36) stan w hipnozie, 38) grecki bóg wojny, 40) zajęcie rolnika.

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO NR 204 ZE 120 NUMERU „ŚWIATA MŁODYCH" Z DNIA 14.10.1978 R.

Prawidłowe rozwiązanie: **Dobra rada przyjacielska jest jak lekarstwo i tym lepsza, im bardziej gorzka.**

Nagrody wylosowali: Izabela Bator – Warszawa, Iwona Bernat – Legnica, Anna Guzda – Krapkowice, Joanna Kiełek – Gostynin, Irena Kwaśniewska – Jastrzębie, Julian Matras – Puławy, Dariusz Mordal – Konradowo, Małgorzata Skwarek – Kamienna Góra, Dariusz Stola – Biała Podlaska, Paweł Wierzba – Gdańsk-Oliwa.

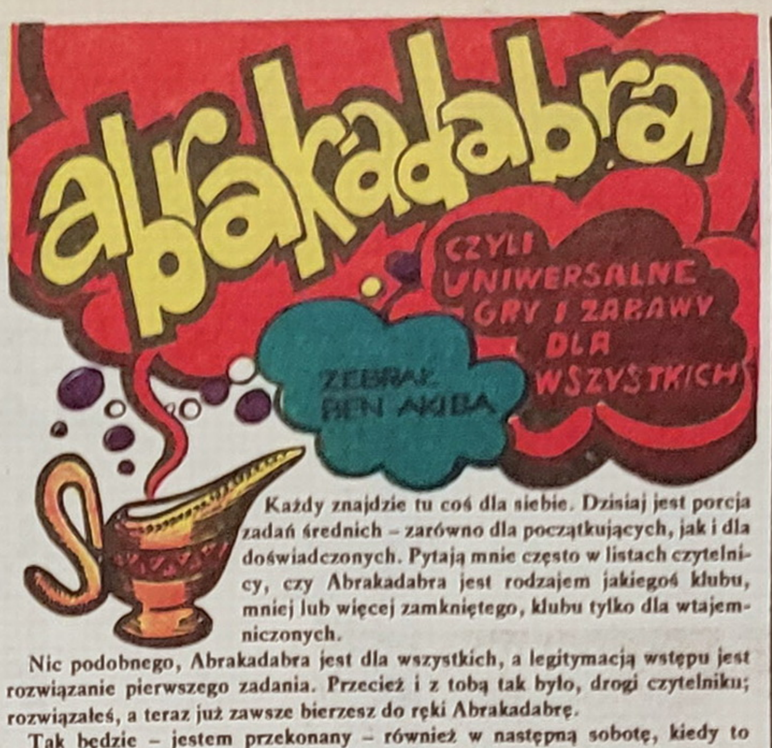

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Dzisiaj jest porcja zadań średnich – zarówno dla początkujących, jak i dla doświadczonych. Pytają mnie często w listach czytelnicy, czy Abrakadabra jest rodzajem jakiegoś klubu, mniej lub więcej zamkniętego, klubu tylko dla wtajemniczonych.

Nic podobnego, Abrakadabra jest dla wszystkich, a legitymacją wstępu jest rozwiązanie pierwszego zadania. Przecież i z tobą tak było, drogi czytelniku; rozwiązałeś, a teraz już zawsze bierzesz do ręki Abrakadabrę.

Tak będzie – jestem przekonany – również w następną sobotę, kiedy to spotkamy się w tym samym miejscu. Do zobaczenia!

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

ODPOWIEDZI Z POPRZEDNIEJ SOBOTY:

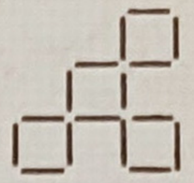

POSZUKAJ W MOZAICE: a-11, b-3, c-19. **KOSTKA I JEJ SIATKA:** sześcian nr 2 nie może być złożony z przedstawionej siatki, jest to więc kostka fałszywa. **MOŻE JESTEŚ MISTRZEM LOGIKI:** oczywiście, wpisałeś prawidłowo figurę nr 5; zwróć uwagę, że w każdej kolumnie pionowej oraz w każdym rzędzie poziomym muszą być trzy duże figury o różnych kształtach, a także na to, że każdy z małych zaczernionych elementów musi „obejść" trzy miejsca. **ZAPAŁCZANY PROBLEM:** rozwiązanie na rysunku.

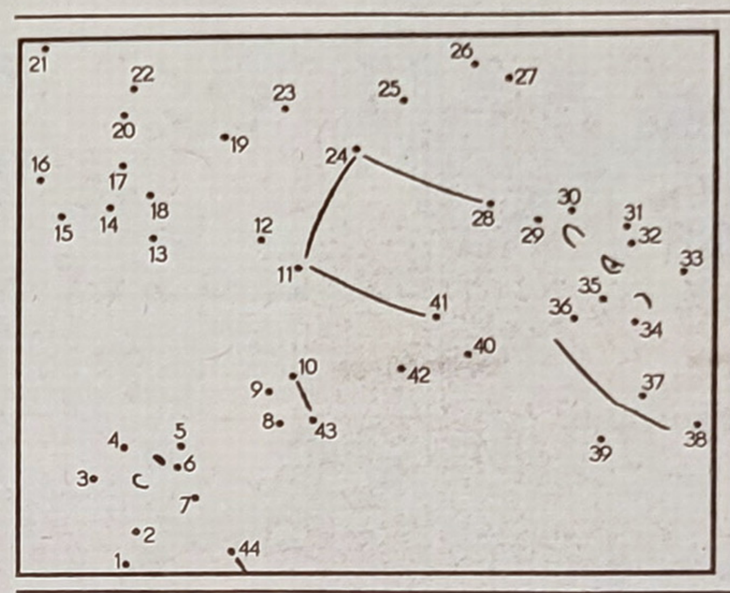

To jest numer!

Ten rysunek przedstawia cyrkowy numer z dreszczykiem. Jeszcze nie widzisz? Więc chwyć szybko do ręki ołówek, długopis lub mazak i starannie połącz kolejne punkty oznaczone liczbami od 1 do 44. Przekonasz się, że rzeczywiście – to jest numer!

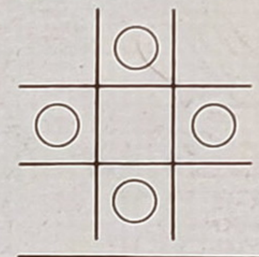

KÓŁKO I KRZYŻYK

Któż nie zna popularnej gry w kółko i krzyżyk? Dziś prezentuję ci szczególny rodzaj kółkowo-krzyżykowego problemu: musisz za pomocą czterech linii prostych spowodować wygraną krzyżyków. A więc cztery linie proste, którymi mają być narysowane trzy krzyżyki i linia wskazująca zwycięstwo. Sądzę, że po krótkim namyśle dokonasz tej sztuki, chociaż początkowo wydaje się to niemożliwe. Powodzenia! I pamiętaj – tylko cztery linie.

TO SAMO, A JEDNAK...

Popatrz uważnie na oba obrazki. Zarówno rysunek lewy, jak i prawy mają siedem szczegółów takich samych z tym, że na prawym obrazku pełnią one zupełnie inną rolę, niż na lewym. W ciągu sześciu i pół minuty powinieneś odnaleźć całą siódemkę, a jeśli nie jesteś pewny – porównasz swoją odpowiedź z prawidłowymi rozwiązaniami, które zamieszczę w Abrakadabrze za tydzień.

6	9	5	7	6
1	3	9	4	1
9	7	6	5	3
4	3	2	7	2

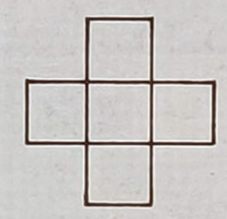

GDZIE JEST 28?

Obok tablicy cyfr widzisz formę w kształcie krzyża. Musisz ją – w wyobraźni – nałożyć tak na tablicę z cyframi, by suma cyfr w kratkach formy wynosiła 28. Uprzedzam cię, że na tablicy jest tylko jedno takie miejsce, myślę, że za chwilę je odnajdziesz.

– Szkoda – Beniamin skrzywił się z niezadowoleniem. – Tłuczecie się po mieszkaniu, budzicie mnie z pierwszego snu po to tylko, aby mi zakomunikować, że zgubiliście gitarę i że nie macie nic do jedzenia. Niech was diabli!

– Sami byśmy coś zjedli – westchnął Jan. – Ale to wszystko nic. Jesteśmy zaangażowani na występ.

– To co innego – Beniamin rozłożył szeroko ręce. – Trzeba było od razu tak gadać. Na występ – powtórzył jakby rozkoszując się dźwiękiem tego słowa. Ale zaraz roześmiał się i dodał: – Pewnie do jakiejś podłej dziury za dwadzieścia franków, co?

– Ano chyba coś takiego.

– Głupstwo. Dobre i to. Nie będziemy się licytować. Więc dziś wieczorem gracie?

– E, gdzie tam – powiedział Jan. – Dopiero za tydzień. I jeszcze w dodatku „może".

– A, może za tydzień... – Beniamin kręcił nosem. – Znam ja nieźle robigroszów. Będą zwodzić, obiecywać, a wreszcie „niestety" zrezygnują. Albo puszczą was na estradę na dziesięć minut, jak z łaski.

– No więc co mieliśmy zrobić? – spytał Jan.

– Rozumie się. Nie mówię słowa. Najważniejsze to się jakoś zaczepić. Nic nie idzie gładko. Tylko co będziecie robili przez ten tydzień w Paryżu? Bez pieniędzy i bez gitary.

– Właśnie tego nie wiemy.

– Aha – pokiwał poważnie głową Beniamin. – Właśnie tego akurat nie wiecie. Drobiazg. Tydzień przeleci. Tylko że trzeba coś jeść.

– Może nam pan poradzi...

– Fi! Sam sobie nie mogę poradzić. Śpiewajcie piosenki i nie myślcie o jedzeniu. To wam mogę poradzić.

– Długo tak można wyżyć?

– A choćby i rok. Dłużej to może być cokolwiek męczące, ale też można. Jesteście na dobrej drodze – dodał po chwili. – Nie trzeba się cofać.

– Jutro pomyślimy, jak zdobyć coś do jedzenia.

– O, właśnie! – przytaknął skwapliwie Beniamin. – Tak właśnie trzeba rozumować. – Jutro pomyślimy. Dzień jest bardzo długi, a myśleć można od samego rana.

PARYSKIE ULICE

Janka obudził warkot samochodów za oknem: Beniamin i Piotr spali jeszcze, zepchnięci na sam brzeg tapczanu, więc najlepszą rzeczą było wstać zaraz i nie zabierać im miejsca. Tak też zrobił. Nie mógłby już usnąć. Za dużo niespokojnych myśli latało mu po głowie, za bardzo tłukło się serce. Stanął w otwartym oknie i wciągnął w płuca łyk paryskiego powietrza: świeżość poranku zmieszaną z zapachem spalin.

Dzień rozpoczął się już na dobre. Ze sklepu na rogu ulicy wyszła kobieta z zakupami. Długa bagietka wystająca jej z siatki przypomniała o śniadaniu. Obmył twarz zimną wodą i ubrał się szybko. Wstąpiła w niego energia, jakaś nieodparta chęć natychmiastowego działania. Spojrzał na śpiących i napisał na kartce: „Przyjemnych marzeń, panowie! Idę nad Sekwanę". Położył kartkę na stoliku i szybko wyszedł z pokoju.

Gdy znalazł się na ulicy, wsadził ręce w kieszenie i ruszył zamaszystym krokiem przed siebie, do ulicy Clichy. Tam panował większy ruch niż na małej uliczce Condaminé.

W słońcu wszystko wyglądało inaczej.

Rozpierała go radość i duma. Ich piosenki zostały uznane za towar nadający się do sprzedaży. Chociaż tutaj aż huczy od sławnych nazwisk, od reklamy. A jednak w sumie nie jest źle, jak na początek. Wszedł do piekarni i kupił świeżą bagietkę. Rzucił niedbale na ladę centimy, a potem idąc ulicą gryzł chciwie bułkę. Wreszcie napił się wody z ulicznego kranu i był już po śniadaniu. Miał przed sobą cały dzień, głowę pełną fantazji i pustą kieszeń – właśnie tak jak trzeba.

Jest takie francuskie słowo „flaner". A jak by to powiedzieć po polsku? Łazić bez celu? Włóczyć się? Wałęsać? – żadne z tych określeń nie oddaje w pełni tego właśnie „flaner". Jan włóczył się po ulicach nie patrząc nawet na ich nazwy, ale nie była to przecież wędrówka zupełnie bez celu. Patrzył, słuchał, wchłaniał w siebie nastrój miasta. Tu żyje się z rozmachem, na całego. Tu trzeba mieć wypchany portfel albo nie mieć nic. Zupełnie nic...

Cdn.

tekst & rysunki T. BARANOWSKI

ORIENT MEN

ŚWIESZY · TUMANI · PRZESTRASZA

ODC. 11

STRESZCZENIE

ORIENT-MEN BAWIĄC NIEOFICJALNIE NA GRENLANDII, NIEUMIEJĘTNIE REPERUJE ZIMNY KALORYFER ESKIMOSA TAM ZANIESZKAŁEGO. TENŻE ESKIMOS ŁAZI TERAZ ZA ORIENT-MENEM PRAWIE W KAŻDYM ODCINKU, ZAŻĄDAJĄC SATYSFAKCJI MORALNEJ. NIE BYŁO GO W ODCINKU OSTATNIM, W KTÓRYM ORIENT MEN POZNAŁ SMOKA O JAPOŃSKIM NAZWISKU YAKI-TAKI....

TU X-14 DO X-15 WIDZĘ ZBLIŻAJĄCY SIĘ NIEZIDENTYFIKOWANY OBIEKT LATAJĄCY...

X-15 DO X-14 ZBLIŻYĆ SIĘ NA BLISKĄ ODLEGŁOŚĆ DO OBIEKTU I STARAĆ SIĘ NAWIĄZAĆ Z NIM KONTAKT

BIP... BIP... BIP... BIP... BIP... BIIIP...

T.BARANOWSKI '78 r.

JAK LATASZ BARANIE!

BIP... BIP... BIP... BIP...

X-14 DO X-15, OBIEKT PYTA NAS NAJAKIEJ ZASADZIE PORUSZA SIĘ NASZ POJAZD....

X-15 DO X-14 ZADEMONSTROWAĆ OBIEKTOWI SPOSOBY LATANIA

ZZZZZZZZZZZZZ...

CIEKAWE, KTO TAKIEMU DAŁ PRAWO JAZDY...

DOŚĆ! DOSYĆ! ŻE TEŻ WAS OD RAZU NIE POZNAŁEM PO TEJ FILIŻANCE...

X-14 DO X 15 OBIEKT NIEZIDENTYFIKOWANY Z JAKIEGOŚ POWODU NAS NIE POZNAJE

X-15 DO X-14, JA RÓWNIEŻ NIE ZNAM OBIEKTU OSOBIŚCIE! WYKONAĆ MANEWR PRZEDSTAWIANIA...

BOBO MLT

JESTEŚMY PRZEDSTAWICIELAMI OBCEJ CYWILIZACJI PRZYBYŁEJ NA ZIEMIĘ W CELU WYMIANY WSPÓLNYCH POGLĄDÓW

PRZEZ TE SPODKI I FILIŻANKI NIKT NA ZIEMI W WAS NIE WIERZY. U NAS W TAKICH NACZYNIACH PIJE SIĘ CZARNĄ KAWĘ

Z POWODU KSZTAŁTU NASZEGO POJAZDU OBIEKT NIEZIDENTYFIKOWANY W NAS NIE WIERZY. MA TO JAKIŚ ZWIĄZEK ZE SPOŻYWANIEM PŁYNÓW NA TEJ PLANECIE...

X-15 DO X-14 DLA DOBRA SPRAWY ZAPROPONOWAĆ WSPÓLNĄ KONSUMPCJĘ, NAWET POD RYZYKIEM, ŻE MOŻEMY ZOSTAĆ WYPICI! LĄDUJEMY...

...TAM NA POLANCE...

X-14 DO X-15 WYGLĄDA JEDNAK NA TO, ŻE OBIEKT ŻYWIOŁ PICIA MA PRAWDOPODOBNIE UJARZMIONY...

NIEPRAWDOPODOBNE, CAŁY SIĘ TRZĘSE ZE SPOKOJU...

JAK OPOWIEMY TO U NAS PO POWROCIE TO WSZYSCY NAM UWIERZĄ...

BACH!

X-14 I X-15 PYTAJĄ: CZY OBIEKT POSIADA JAKIEŚ BEZPIECZNE PŁYNY???

OCZYWIŚCIE! W RAMACH ZBLIŻENIA MIĘDZYPLANETARNEGO ZAPRASZAM WAS NA FILIŻANKĘ HERBATY. NIE MAM TYLKO FILIŻANEK...

MAMY SWOJE NACZYNIA....

MNIAM... PYSZNE..! I POMYŚLEĆ, ŻE NA NASZEJ PLANECIE HERBATA PIŁA NAS DO TEJ PORY...

... FASCYNUJĄCE... PROSZĘ I MNIE NALAĆ JESZCZE TROCHĘ...

BARDZO PROSZĘ...

... NATOMIAST ZDEZORIENTOWANY ORIENT-MEN POSTANOWIŁ, ŻE OD TEJ PORY ZAWSZE PO ZJEDZENIU TALERZY, ŁYŻEK I WIDELCÓW, ZAWSZE BĘDZIE ZMYWAŁ WODĘ NA SUCHO I Z NAJWIĘKSZĄ OSTROŻNOŚCIĄ

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. 3 Maja 7, 40-096 Katowice (tel. 599-230, telex 0315327).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch" Międzyresortowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Kościelna 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę we zleceniach wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-77 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046

Opracowanie graficzne: Szarlota Pawel

Redakcja techniczna: Anna Dąbrowska

„DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" Warszawa

Nr zam. 7061/G S-28

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

— Widzisz! – cieszył się Jan. – Ze mną nie zginiesz. Idziemy! Minęli mały placyk, gdzie na ławce spał w najlepsze clochard okryty peleryną, potem przeszli przez jedną uliczkę, drugą uliczkę i niespodziewanie znaleźli się na jakimś moście.

– Trafiliśmy nad Sekwanę czy co? – mruknął Jan.

Ale to nie była Sekwana.

Pod nimi tłoczyły się ciasno, jeden obok drugiego, małe domki.

Piotr, który miał w głowie cały plan miasta, wyjaśnił, że jest to prawdopodobnie jeden z najstarszych cmentarzy paryskich. Cmentarz Montmartre.

Byli na moście przerzuconym nad grobowcami. Oparli się o balustradę i patrzyli.

Grobowce w kształcie małych kapliczek zdawały się dostojne i ponure. Ani jednego kwiatka, tylko marmur, beton i kamienie. Nic z prostoty cmentarza w ich rodzinnym mieście.

Wtem usłyszeli przytłumiony warkot silnika i zobaczyli nadjeżdżającego na mobiletce policjanta. Zwolnił obok chłopców, jakby zastanawiając się, jak ich potraktować. Wracał do domu, więc właściwie nic to go nie powinno obchodzić. Minąwszy ich zatrzymał się jednak. Chłopcom stanęła przed oczyma scena sprzed katedry i dreszcz przeszedł im po skórze. Może znowu zakłócają spokój publiczny. „Eee, nie trzeba się bać policjanta"... Zaraz... Jaki był numer tego wozu policyjnego, który zabrał Mulata? – Jan na próżno sobie przypominał.

– Czego tu szukacie, chłopcy? – pytanie zabrzmiało przyjaźnie, ale było w nim trochę nieufności.

– Zabłądziliśmy – wyjaśnił Piotr. – Jesteśmy po raz pierwszy w Paryżu.

– A jakiej ulicy szukacie?

– Rue Condaminé, proszę pana.

Policjant zsiadł z motoru i wytłumaczył im dokładnie, jak mają iść.

– Koło cmentarza, o, tędy, potem na lewo, na prawo, do ulicy Clichy...

– Dalej już trafimy – przerwał Jan. – Dziękujemy panu.

Ale policjant powtórzył im wszystko jeszcze raz i odszedł powoli prowadząc mobiletkę. Zrozumieli, że obserwuje, czy pójdą tak, jak im powiedział. Może to z troski o nich, a może z podejrzliwości. Czuli na sobie jego wzrok, gdy odchodzili w dół i szli obok cmentarnego muru.

– Odprowadza nas za rączkę do domu – zaśpiewał Jan. – Widzisz, że piosenka nie kłamie!

Rozpoznali ogromny plakat filmowy przy kinie.

Rozwidniało się. Najbardziej niewłaściwa pora na dobijanie się do drzwi. Ale co robić? Trzeba zakończyć wreszcie tę wędrówkę.

Jan nacisnął guziczek dzwonka i czekali. Odezwało się szczekanie psa, a po chwili kroki i zgrzyt zamka.

Zaspany mężczyzna przyjrzał im się badawczo.

– Mieszkamy tu, pokój jedenasty – Jan włożył mu do ręki dwufrankową monetę.

Mężczyzna uśmiechnął się kwaśno.

– Klucz już zabrany – powiedział spoglądając wymownie na zegar.

Trzeba będzie jeszcze obudzić Beniamina.

Kulawy włóczęga nie okazał niezadowolenia. Wyglądało na to, że wcale nie spał i takie przychodzenie do domu nad ranem uznał za rzecz zupełnie naturalną.

– No i jak? – spytał. – Co nowego?

– Zgubiliśmy gitarę.

– Brawo! I co dalej? Macie może coś do zjedzenia?

– Nie.

Dokończenie na str. 7